POD WIATR.pl

NR 1 (160) ROK XVIII LUTY / MARZEC 2012

SAMI O SOBIE CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE 1

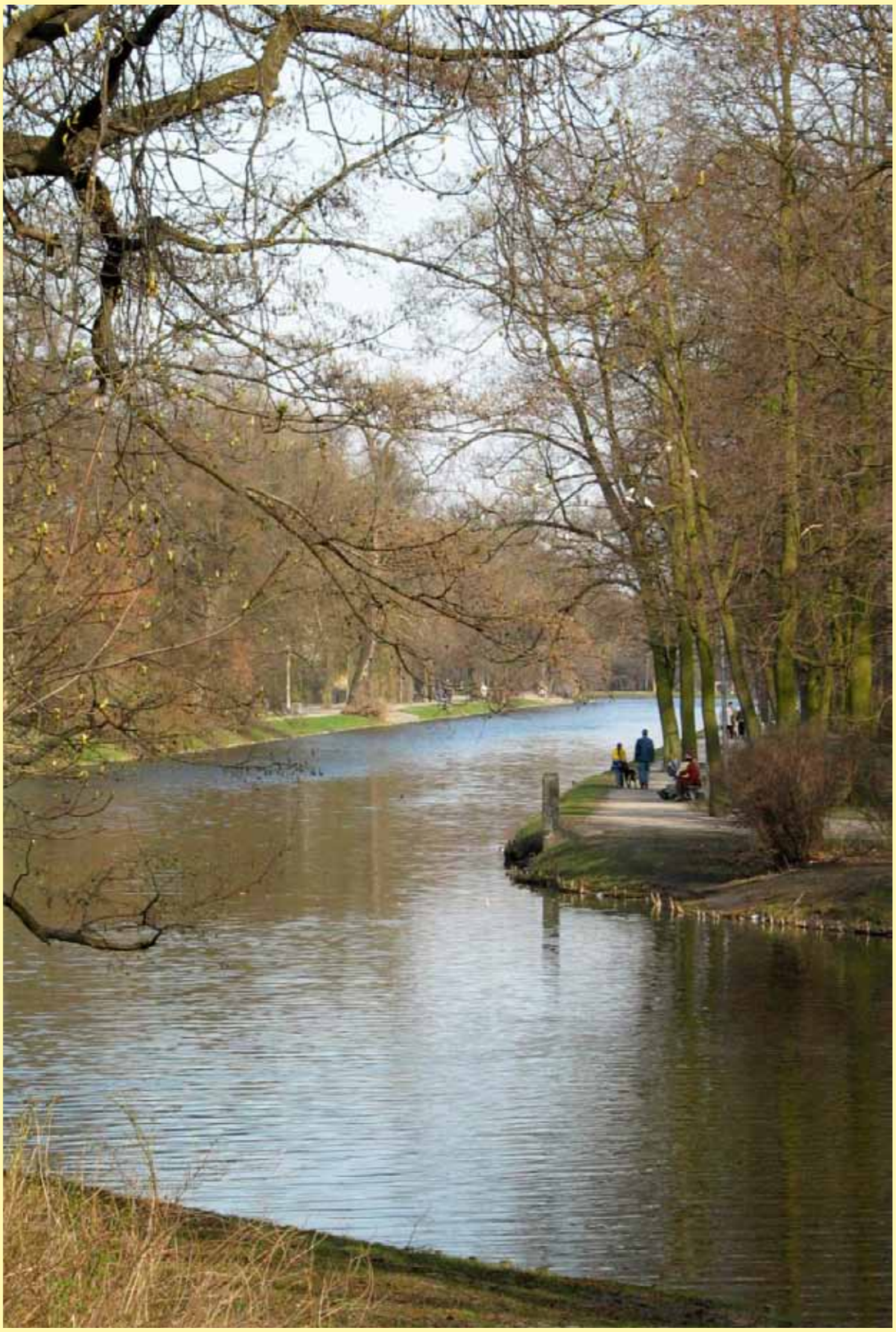

Bydgoszcz: przedwiośnie nad Starym Kanałem. *fot. Robert Sawicki*

W numerze

W objęciach dzikiej natury

Tańcząc w rytmie serca

Dwie minuty w Nowym Jorku

U wrót Hadesu

Ekologia bez granic

Witryna Literacka

fot. Monika Filipiak l. 17 (archiwum)

Rzeka czasu

Czasu nie da się zatrzymać. Płynie wartko jak rzeka. Odchodzi w przeszłość szybko jak mgnienie oka. Jeżeli okazał się czasem dobrym – można go jednak objąć pamięcią i pokochać. My ten czas pokochaliśmy – piszą do redakcji POD WIATR niegdysiejsi autorzy, nastoletni pasjonaci dziennikarstwa i literatury – dzisiaj dorośli ludzie.

W albumie pamiątek przechowujemy takich listów mnóstwo, bo czas był długi i owoc dorodny: sto pięćdziesiąt dziewięć wydań POD WIATR – materialny zapis wspólnej przygody ponad pięciu tysięcy młodych i bardzo młodych amatorów – pasjonatów dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii. I ich dorosłych mentorów i opiekunów.

Czy podwiatrowa przygoda zostanie wpisana trwale w indywidualne życiorysy, kiedy życie toczy się tak szybko, że ten, kto chce zatrzymać wspomnienia, musi na nowo uczyć się sztuki pamięci? Czy znajdzie się w kronice życia, odwiedzana i pielęgnowana? Tego nikt nie wie, chociaż zapewne wielu z nas pragnie, by tak się stało.

W grudniu minionego roku drukowany od 1993 roku POD WIATR zacumował w ostatnim swoim porcie – Przystani Pamięci. Od dzisiaj proponujemy aneks do jego osiemnastoletniej historii, jej kontynuację w formie internetowej: sto sześćdziesiąte wydanie czasopisma, a w nim kilkanaście debiutów.

Czy nowa forma podróży przez świat będzie równie długa jak tamta, tradycyjna, drukowana, dostępna teraz i później w licznych archiwach bibliotecznych w kraju i na świecie? Trudno prognozować, bo na odpowiedź składa się wiele czynników. A zatem – nie zwlekajmy i wypłyńmy na „szeroki przestwór oceanu". Nie bacząc na rafy i mielizny, pożeglujmy wspólnie rzeką czasu, tak czując dzień Dzisiejszy, aby Jutro móc powiedzieć, że Wczoraj było piękne.

Wydawca z załogą POD WIATR.pl

Czasopismo młodzieżowe POD WIATR dotowane jest przez Kancelarię Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

KURSKI MIEJSKI ZWIĄZEK POLSKIEJ KULTURY
WSPÓLNOTA POLSKA

Pan Mirosław Twaróg
Naczelny Redaktor czasopisma POD WIATR

Z okazji 18. urodzin Waszego wspaniałego czasopisma z ogromną przyjemnością pragnę przekazać na Pana ręce serdeczne pozdrowienia. Z całego serca życzymy Wam sukcesów, dużo szczęścia i długich lat owocnej pracy oraz wielu wydań pięknego czasopisma, z którego nasza młodzież polonijna uczy się języka polskiego i poznaje polską młodzież – jej codzienne życie, radości i smutki.

Niech każdy kolejny rok przynosi Redakcji nowe osiągnięcia. Panu i członkom Zespołu życzymy samych szczęśliwych chwil w życiu osobistym oraz nieustannej radości z wykonywanej pracy.

Do moich słów dołącza się każdy członek Kurskiego Związku Polskiej Kultury „Wspólnota Polska".

Prezes Kurskiego Związku Polskiej Kultury „Wspólnota Polska"
Jan Zembrzuski

Kursk, w grudniu 2011 r.

KSIĘGARNIA PEDAGOGICZNO-SZKOLNA
Marii Maćkowiak, ul. Markwarta 2 w Bydgoszczy.
www.pedagogiczno-szkolna.pl
W księgarni nabyć można archiwalne egzemplarze POD WIATR

POD WIATR tworzą amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii, znajdujący satysfakcję i przyjemność w prezentowaniu na łamach pisma swoich przemyśleń, refleksji, komentarzy wyobrażeń i wizji artystycznych. Autorami czasopisma są uczniowie i studenci z Pomorza, Kujaw i Wielkopolski oraz młodzież pochodzenia polskiego mieszkająca za granicą.

Ideą **POD WIATR**, ukazującego się od października 1993 r. w wersji drukowanej – od lutego 2012 r. w formie elektronicznej – jest umożliwienie młodzieży mówienie własnym głosem o swoich sprawach, promocja talentów dziennikarskich i artystycznych, a także wspieranie dążeń młodych ludzi do intelektualnej samorealizacji.

Łamy pisma oddajemy również dorosłym, którzy nas czytają i pragną do nas napisać. „Polski świat" tworzymy razem i razem za niego odpowiadamy. Przeszłość i teraźniejszość to droga, którą warto przebyć wspólnie. Dla przyszłości.

Nasz adres:
POD WIATR. pl
85–099 Bydgoszcz 23
skrytka pocztowa 49
www.podwiatr.pl
e-mail: podwiatr93@wp.pl
wiatr@byd.top.pl

POD WIATR.pl **POD WIATR.PL www.podwiatr.pl społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe.**
Redagują: Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny).Sekretarz redakcji: Katarzyna Twaróg. Redaktor graficzno-techniczny: Anna Faleńczyk. **Redaktor Witryny Literackiej:** Zygfryd Szukaj. **Adres korespondencyjny:** POD WIATR 85-099 Bydgoszcz 23 skr. pocztowa 49. e-mail: podwiatr93@wp.pl wiatr@byd.top.pl
Z redakcją współpracują: Maria Babyszka i Agata Bełka-Świtkowska (Osiek n. Notecią), Marta Jagieło (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Arndt i Maria Mitek (Łobżenica), Dorota Misiak (Toruń), Paulina Młyńska (Poznań), Robert Sawicki (Bydgoszcz).**Współpracownicy zagraniczni:** Zygmunt Kowalski (Argentyna), Qaarcaana Kowalska (Rosja), Dorota Mabjaia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteeraj i Ewa Mahadea (Mauritius), Andrzej Szwagrzak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembrzuski (Rosja). **Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT" Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel.: +48 52 342 93 10. **Skład i łamanie:** Bydgoski Dom Wydawniczy MARGRAFSEN S.C., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel: +48 52 370 38 00, e-mail: biuro@margrafsen.pl http://www.margrafsen.pl
REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZ0NYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW I ZMIANY TYTUŁÓW.

My z XXI wieku

Na tropie myślenia

Tradycyjna szkoła życia regularnie zmusza swoich uczniów do bezrefleksyjnego robienia rzeczy, których często nie rozumieją. A ja, patrząc na to wszystko, niezmiennie pytam się w duchu: po co ta cała komedia? (A może tragedia?) Ale w dzisiejszej egzystencji niekoniecznie idzie o to, by nauczyć się myśleć. Chodzi o to, by wykuć na pamięć, ile wlezie (propozycja dla bardziej ambitnych) i zaspokoić zachcianki najbliższych lub po prostu nauczyć się oszukiwać (wersja dla tych rozleniwionych).

Samodzielne myślenie jest w życiu człowieka stanem odzwierciedlającym poczucie indywidualności, inności, różnorodności. Tylko to prowokuje nas do refleksji, wybija z bezpiecznego nurtu schematów, a nawet skłania do opamiętania. Cóż z tego, jeśli epatowani przez pochłaniające do granic bezsilności dobra użytku publicznego nie uprzytamniamy sobie własnej odrębności? Powaga tej świadomości zaniepokoiła mnie. Zaniepokoiła mnie do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy to tylko sen na jawie, czy faktyczny uszczerbek na zdrowiu naszego świata.

Niestety, każda epoka ma swój czar, który po głębszej weryfikacji staje się nudny. Tylko dlaczego musimy wszystko wykonywać tak samo? Znam kilkadziesiąt osób z mojego feralnego pokolenia, które swoje *credo*: myśleć, robić i wyglądać jak... (tu nazwisko jednej z tych „gwiazd") pielęgnują niczym pod groźbą ekskomuniki z raju. Przecież nie istnieć na „fejsie", to nie istnieć wcale, a czarne glany, kiedy emu można spotkać na nodze każdej dziewczyny, są niemodne. Bo i po co zastanawiać się, co mi się podoba i w czym czuję się dobrze? Inni to zrobią za mnie, a ja w poczuciu własnego JA będę *cool* i *trendy*, pod każdym względem oczywiście, obywatelem świata.

Tymczasem koszmar homogamii trwa. I przestać nie ma zamiaru. Pamiętam, że pierwszy raz pytanie „dlaczego tak myślisz?", usłyszałam, będąc przestraszoną, może nawet trochę zagubioną małą dziewczynką. Od tego czasu zastanawiałam się nieustająco, jaki był jego cel. Początkowo doszłam do wniosku, że była to tylko i wyłącznie zwyczajna natarczywość pytającego, naruszająca, rzecz jasna, moją osobistą wolność przekonań. Po co komu wiedzieć, „dlaczego tak myślę"?

Dopiero niedawno odkryłam, że to z pozoru banalne pytanie powiedziało mi, co zrobić, by być SOBĄ. Nie kimś, kim chciałabym być, nie kimś, kogo widzą we mnie ludzie, tylko sobą. Wtedy właśnie naprawdę zrozumiałam, że trzeba być zawsze uczciwym wobec swojej duszy i podążać za tym, co nada życiu sens. Siła tego przekonania pozostała we mnie do dziś. Mam ją w sobie, a nawet wspomagam ją, bo jest mi potrzebna. Trudno to opisywać, nazywać, określać. To bardziej stan ducha niż spierzchnięta recepta na odzyskanie poczucia własnej wartości.

I tak dalej, i tym podobne. A to wszystko przez jedno, wydawałoby się mało znaczące, pytanie, które otworzyło wielką przestrzeń na samodzielne myślenie. Dziś, kiedy pieczę nad ludzkim światem sprawuje telewizja i inne katusze, trudno dać jakąkolwiek możliwość własnym zasobom, w które uwierzylibyśmy, gdyby nie gotowe wzorce. Taki wzorzec odbiera nam perspektywę rozporządzania własnymi, intymnymi wizjami, z którymi czulibyśmy się bez szkody. A samodzielne rozumowanie daje możliwość na spokojne, choć nieraz niewdzięczne życie.

Marika Zielińska l. 16

fot. Anna Pawłowska l. 19 (archiwum)

Następny numer POD WIATR.pl ukaże się 25 kwietnia

Porwijmy młoty w twardą dłoń

I znowu jest późny wieczór, a ja siedzę w autobusie. Za szybą ciemno, zimno… Wewnątrz temperatura też nie rozpieszcza. Żółtawe światło lamp nieprzyjemnie gryzie w oczy, nie dając zasnąć. Może to i dobrze, głupio byłoby przegapić swój przystanek. Przeczytana książka leży w torbie, w uszach pobrzmiewa ukochana kapela – dzięki ci Baldwinie. A może jednak Bellu? Kimkolwiek byłeś, wynalazco słuchawek, niech ci ziemia lekką będzie. Zaczynam się rozglądać…

Szare twarze. Wszędzie. Bez wyrazu, zastygłe, jakby odlane z gipsu. Poorane zmarszczkami, zeszpecone nadmiarem makijażu. Lub jego brakiem. Kim jesteście, szarzy ludzie? Dokąd zmierzacie? Jaka jest wasza historia? Co się dzieje w waszych głowach…?

Jesteście samotni, tak jak ja. Może nie w ogóle, ale teraz – tak. Właśnie to czujecie. Zimno i pustkę, bo one właśnie ogarniają człowieka w tłumie. Paradoksalnie, to między innymi ludźmi możemy najszybciej dostrzec własne wyobcowanie. Cóż, wolny czas sprzyja rozmyślaniom egzystencjalnym. A w końcu każdy z nas jest filozofem.

Pofilozofujmy więc. Siedząc z kimś ramię w ramię, nie czujemy jego ciepła. Bo wcale nie chcemy, by ten troglodyta stał się częścią naszego świata. Uważamy się za jedynych rozumnych i świadomych w całym tłumie bezkształtnej masy tkanek i kości. Jakie to przerażające, myślimy. Co za straszliwy rak toczy ten nieszczęsny naród i tylko ja zdaję sobie z tego sprawę. JA…O, baranki idące na rzeź, co wy wiecie o życiu – myślimy w zadufaniu.

Gwarantuję wam, że przynajmniej co drugi siedzący w tym autobusie jest zajęty podobnymi rozmyślaniami. Nawet ten „dres" na samym końcu. Tak już jest, że uważamy się za wyjątkowych, resztę mając za marionetki rzeczywistości. A z „kukłami" nie ma co się zadawać. Trociny naciągnięte skórą. Tyle, że te trociny postrzegają nas w identyczny sposób.

Nie znamy się i wcale nie chcemy poznać. Ale zawsze możemy oceniać, prawda? Ze szczytu wieży fortecy serca, otoczonej murami i fosami, wychodzi nam to najlepiej. Kobieta naprzeciwko? Kura domowa myśląca o jutrzejszym obiedzie. Dzieciak w sportowej kurtce? Chuligan spod bloków. Facet w kącie? Mam nadzieję, że nie gwałciciel. A ja? Kim jestem dla nich? Zaraz… oni na pewno nie są zdolni do tak wnikliwych analiz!

Jakże śmieszni jesteśmy w tych osądach. Jak śmieszni dla innych, dla świata. I jak mało znaczący. Mniej niż te trociny.

Ale przede wszystkim jak samotni. Nie czujemy się częścią czegoś większego, prowadzimy swoje egzo-życie w nadziei, że nie będziemy zmuszeni do kontaktu z drugim człowiekiem. Stoimy ponad linami więzi międzyludzkich oplatających cały glob. I mamy się za farciarzy, bo nie musimy użerać się z bezmyślnymi istotami, które nie wiedzieć czemu, także noszą miano *Homo sapiens*. I nie zdajemy sobie sprawy, jak nieszczęśliwymi nas to czyni.

Każda kolejna osoba, każda nowa więź, każda poznana historia czyni nas bogatszymi i pełniejszymi. Odcinając się od innych, odcinamy się od siebie samych. Dlaczego mielibyśmy to robić dalej? Porwijmy młoty w twardą dłoń i zacznijmy w mury tłuc z łoskotem, jak pisze Leśmian. Uderzajmy z całych sił. Może poza nimi jest coś oprócz próżni?

Dominika Gracz l. 18

Życie z pasją

Tańcząc w rytmie serca

Tańczę na scenie wśród blasku oślepiających reflektorów i wiwatów publiczności. Jest ze mną dziewiętnastu tancerzy, w większości w moim wieku. Tworzymy grupę. Liczy się każdy drobny ruch, zsynchronizowany z uderzeniami w muzyce. Widzowie poza parkietem klaszczą i krzyczą „Go Flow!".

Patrzymy na widownię, lecz i tak największy respekt czujemy przed groźnym i nieodgadnionym spojrzeniem jury. Wiemy, że dla każdego z nas jest to najważniejszy ze wszystkich dotychczasowych występów.

„Flow" na mistrzostwach świata w Grazu.

Taniec zajmuje moje myśli za każdym razem, gdy słyszę jakąkolwiek melodię. Od czterech lat trenuję hip-hop.

Przygodę z tańcem zaczęłam w grupie „**Spin**" z Młodzieżowego Domu Kultury numer 5 w Bydgoszczy, a następnie przeniosłam się do bardziej zaawansowanego studia, do formacji „**Flow**". Dzięki zajęciom zyskałam nie tylko pasję, ale też prawdziwą przyjaźń, która nadal trwa.

Oto miejsce naszych ćwiczeń. Sala przy ul. Obrońców Bydgoszczy. Na pierwszy rzut oka mało imponująca, wiąże się z wieloma wspomnieniami i przeżyciami każdego tancerza „Flow". Ściana pokryta lustrami, w których staram się wypatrzeć wszystkie swoje błędy. Dużo wolnej przestrzeni, którą może wypełnić jedynie bas wydobywający się z potężnego odtwarzacza. I parkiet, na który każdy z nas czasem upada, a potem, o własnych siłach lub z pomocą grupy – podnosi się.

Gdy pierwszy raz do niej wchodziłam, nie przyszło mi do głowy, że w 2011 roku wystąpię w Grazu, w Austrii, na mistrzostwach świata w tańcu nowoczesnym. Ta informacja była dla mnie tak szokująca, że jeszcze na tydzień przez wyjazdem nie przyjmowałam jej do świadomości.

Najpierw spróbowaliśmy swoich sił na mistrzostwach Polski. Udało się. Nie potrafiliśmy ukryć zaskoczenia na wiadomość, że zakwalifikowaliśmy się do międzynarodowego turnieju.

Przygotowanie do tak ważnego dla całej grupy występu nie było łatwe ani krótkotrwałe. Mieliśmy dłuższe treningi i musieliśmy przychodzić na salę nawet w weekendy. Aż wstyd przyznać, że po pewnym czasie straciliśmy zapał i stwierdziliśmy, że tak naprawdę wcale nie chcemy jechać do Grazu. We „Flow" pojawiły się nieporozumienia i waśnie, wcześniej zawarte przyjaźnie stanęły pod znakiem zapytania. Brakowało nam też siły i woli walki.

Na szczęście z pomocą przyszła trenerka – **Jolanta Kazimierczak**. Uświadomiła nam, że najważniejsze dla sukcesu grupy są zgranie i zgoda. Powiedziała, że tak prestiżowe zawody będą wyjątkowym, niezapomnianym przeżyciem. Przywróciła nam tym samym wiarę w taniec i w siebie.

W pocie czoła pracowaliśmy nad perfekcją ruchu aż do 12 października – dnia rozpoczynającego mistrzostwa świata. Prawdziwy stres zawładnął nami dopiero, gdy staliśmy przed wejściem na parkiet, czekając na swoją kolej. Wysłuchiwaliśmy ostatnich rad trenerki, dodawaliśmy sobie nawzajem otuchy. W końcu nas wywołano. Starałam się pamiętać wszystkie zmiany ustawień, kroki, uwagi, do których miałam się zastosować, a także szczegóły techniczne, takie jak ugięte kolana, miękkie ruchy. Usiłowałam wyeliminować przerażającą myśl o tym, że wszystko mogę zepsuć. „Ćwiczyłaś to setki razy, nie pomylisz się" – powtarzałam sobie. I skupiłam się na tym, co najważniejsze – dynamice, technice i twarzy. Musieliśmy udowodnić, że jesteśmy nie tylko tancerzami, ale i aktorami – przeżyć to, co robimy, pokazać emocje.

Gdy rozbrzmiała tak dobrze znana mi muzyka, przy której wiele razy ćwiczyliśmy nasz układ, czułam, jak basy przenikają mój umysł i ciało, jak zbiera się we mnie ogromna energia, niemożliwa do stłumienia. To rozsadzało mnie od środka, przez co ruchy były jeszcze mocniejsze. Chciałam pokazać siebie, chciałam tam być! Wiedziałam, że mam problem z pamiętaniem o kontakcie wzrokowym z publicznością, ale tym razem pragnęłam go jak nigdy dotąd.

Siłę czerpałam zarówno z samej siebie, jak i z otaczających mnie tancerzy. Całe „Flow" zjednoczyło się na wielkiej, oświetlonej scenie, ze wszystkich stron otoczonej stolikami jury. Po zatańczeniu połowy układu zaczęło brakować mi sił. W takich momentach najgorsze jest to, że cała grupa czuje to samo. Tak jak na początku układu eksplodowaliśmy, tak teraz wszystkich nas ogarnęło zmęczenie. W takich sekundach najtrudniej jest się podnieść. Przypomniały mi się pełne ekspresji słowa zachęty Joli Kaźmierczak i kończące je wezwanie – „Tańczcie do końca!". Otuchy dodał mi też uśmiech jednego z jurorów – wiedziałam, że patrzy na mnie i ucieszyłam się, że mnie zauważył. Pod koniec układu kładziemy się na podłodze. Gdy muzyka się urwała i usłyszałam brawa, odetchnęłam głęboko. Leżałam jeszcze przez chwilę, patrząc na światło odbijające się od paneli. A potem wstałam, dumna z siebie, dumna z nas wszystkich.

Zajęliśmy trzynaste miejsce na trzydzieści siedem grup z różnych krajów, między innymi z RPA, Kanady, Norwegii, Danii, Niemiec i Japonii. Nie spodziewaliśmy się tak dobrego wyniku. Czy mogło być lepiej? Owszem. Ale wszystkiego trzeba się nauczyć, a na to mamy czas. To osiągnięcie na pewno pomoże nam się rozwinąć.

Taniec to nieodłączna część mojego życia. Nie jestem najlepsza w grupie, nie mam wybitnego talentu. Ale cenię to, co robię, i nie zamierzam przestawać. To nie tylko pasja, ale też lek na wszelkie psychiczne dolegliwości. Uwalnia mnie. I uzależnia – ciężko jest mi powiedzieć sobie „nie", nawet gdy jestem chora, mam dużo pracy na parkiecie lub nauki w szkole. Odnoszę wrażenie, że w tańcu na nowo się odrodziłam. Coś odnalazłam.

Julianna Błaszczyk l. 14

fot. z archiwum „Flow"

Z Argentyny

Początki – osadnicy polscy w Argentynie.

Ziemia Ognista.

mal. Zygmunt Kowalski, Posadas, Misiones, Argentyna

Wśród fiordów i lodowców.

Pamiętnik z podróży

W objęciach dzikiej natury

Po okrążeniu prawie połowy globu i spędzeniu dwunastu godzin w samolocie wylądowałam z tatą w Ushuaia. To najdalej wysunięte na południe miasto Argentyny. Mimo lata na półkuli południowej, przywitał nas mroźny wiatr. Z lotniska pojechaliśmy taksówką do portu, by przywitać się z załogą „Selmy". Mieliśmy z nią spędzić najbliższe dwa tygodnie. Wszyscy okazali się bardzo mili, więc na jachcie poczuliśmy się jak w domu. Następnego dnia wypłynęliśmy do Chile.

Do Puerto Williams, urokliwego miasteczka wojskowego, dotarliśmy wieczorem. Ciepły prysznic wzmocnił dobre nastroje. Rano, po zameldowaniu się w Chile, poszliśmy obejrzeć miasteczko. Małe sklepiki, domki, restauracyjka, szkoła, pod której drzwiami drzemał pies. Wszystko miało familijny urok, mimo iż stacjonowało tam wojsko.

Następnego dnia dopłynęliśmy do Puerto Toro, najdalej wysuniętej na południe osady na świecie. Przycumowaliśmy do burty kutra rybackiego. Właśnie kończył się sezon połowowy, więc na pomoście leżały setki koszy na kraby. Ponieważ mieszkańcy wyspy hodują niewiele zwierząt domowych, a rośliny trudno uprawiać w niskich temperaturach, jedzą tu głównie kraby. Kiedy raz na tydzień przypływa statek z Puerto Williams z produktami spożywczymi na sprzedaż – menu uzupełniają handlem wymiennym. Zgodnie z prawem, muszą sprzedawać kraby państwu za stałą, bardzo niską cenę. Nie mają więc pieniędzy, by kupować wybrane produkty, kiedy tego chcą.

Zaproponowaliśmy rybakom z sąsiedniego kutra wymianę: za cztery kilogramy mięsa odkupiliśmy od nich dziesięć wielkich krabów królewskich. Dla nich to była wymiana marzeń – w Wielkiej Brytanii jeden krab kosztuje tyle co dwa kilogramy mięsa. Nazajutrz, gdy płynęliśmy w stronę Horn, odbyła się rzeź krabów. Nie opiszę, jak to wyglądało, bo nie wiem, wolałam na to nie patrzeć. Za to już po ugotowaniu kraby okazały się bardzo smaczne, choć było przy nich więcej dłubania niż jedzenia. Dopłynęliśmy do zatoki Calleta Martial, a uczta ciągnęła się aż do wieczora.

W dalszą podróż w stronę słynnej skały wyruszyliśmy rano. Przygotowani na duże fale i silny wiatr, nie ukrywaliśmy zdumienia, gdy dopisała nam pogoda. Przylądek Horn okrążyliśmy 27 listopada 2011 roku o godzinie 12.30. Dzięki wspaniałej pogodzie mogliśmy wylądować na wyspie Horn i zwiedzić latarnię. Na wyspie mieszkał wojskowy z żoną, towarzyszył im pies, owczarek niemiecki. Po zakupieniu pamiątek, obfotografowaniu wszystkiego, co się da – jak to czynią Japończycy, i wspólnym zdjęciu pod pomnikiem Albatrosa, z żalem opuściliśmy wyspę. Popłynęliśmy dalej, tym razem na spotkanie fiordom i lodowcom. Towarzyszący nam wiatr, z początku łagodny – wkrótce zmienił się w ostrą „szóstkę". Płynęliśmy, prawie dobę stawiając dzielnie czoło *mordewindowi,* wiatrowi wiejącemu prosto z kierunku, w którym płynęliśmy. Kolejne wachty schodziły przemarznięte. W końcu wróciliśmy do Puerto Williams. Tutaj, kiedy nasz kapitan dokonywał odprawy paszportowej i uzyskiwał pozwolenie na płynięcie do Alei Lodowców, my braliśmy znowu ciepły prysznic i odpoczywaliśmy.

Czyści i wypoczęci wypłynęliśmy w stronę lodowców. Po kolejnych 24 godzinach skryliśmy się u podnóża lodowca w małej, spokojnej, ale uroczej zatoczce Calleta Olla. Wielu z nas po raz pierwszy zobaczyło lodowiec. Widok był imponujący. Planowaliśmy wybrać się na wycieczkę, ale silny i zimny wiatr nas zniechęcił. W zatoczce schroniły się przed sztormem kutry rybackie, a nasz kapitan, korzystając z okazji, handlem wymiennym zdobył dla nas tutejsze przysmaki – trzy wędzone ryby, kongery.

W góry otaczające zatokę wyruszyliśmy kolejnego dnia naszej wyprawy. Po długiej, ciężkiej wędrówce zdobyliśmy szczyt. Mogliśmy z niego podziwiać wielki jęzor lodowca, naszą łódkę i Kanał Beagle`a. W drodze powrotnej trochę pobłądziliśmy. Starając się wrócić na szlak, szliśmy przez błota i las.

Wieczór natomiast spędziliśmy kinowo, oglądając historyczny film o opłynięciu w roku 1923 przylądka Horn przez żaglowiec. Była to zarazem okazja do wspominania naszego niedawnego wyczynu i znakomitej pogody, którą wtedy mieliśmy. Gotowi na następne przygody, udaliśmy się do swoich koi. Niestety, następnego dnia nie czułam się najlepiej, przez co musiałam zrezygnować z wycieczki w pobliże domków bobrów, które osiedliły się na bagnach przy jeziorze polodowcowym. Na szczęście, wszystko zostało starannie obfotografowane, dzięki czemu mogłam zobaczyć widoki, jakie mi umknęły.

Po południu mogliśmy wypłynąć.

Posuwaliśmy się powoli wzdłuż Kanału Beaglea, którego północne ramię nazywane jest z powodu co chwilę mijanych lodowców – Aleją Lodowców. Ich widok w słońcu, które się pokazało, był imponujący! Zdjęciom nie było końca. Natomiast miejsce wieczornego postoju powaliło nas na kolana. Wpłynęliśmy w jedną z odnóg

ciąg dalszy na str. 6.

Nasza załoga.

W objęciach dzikiej natury

Rzeźba mewy – znak Hornu.

Latarnia na Hornie.

ciąg dalszy ze str. 5.

kanału – prześliczny i tajemniczo wyglądający fiord – Voilier. Zacumowaliśmy niedaleko i ponieważ było jeszcze jasno, natychmiast udaliśmy się w góry, by podziwiać tę tajemniczą okolicę.

Kolejnego dnia pobudka dla wachty była wczesna, bo o piątej rano. Po podniesieniu kotwicy popłynęliśmy na podbój lodowców. Pierwszy ujrzeliśmy po śniadaniu. Mienił się bielą i błękitem. Dowiedzieliśmy się z mapy, że za wzgórzem, które „schodzi" do wody, znajduje się jezioro polodowcowe. Wysokie i strome podejście trochę utrudniło nam drogę, ale w końcu udało się dojść do jeziora. Widzieliśmy je chyba jako pierwsi ludzie na Ziemi. Świadomość tego uczyniła nas prawie Darwinami. Wróciliśmy na jacht, a po obiedzie kolejna wycieczka. Udaliśmy się pontonem w pobliże mijanego rano lodowca, a dalej już ,,na butach" – na jego schodzący do wody jęzor. To niewiarygodne – mogliśmy go nawet dotknąć!

Przez długi czas podziwiałam ogrom i majestat tego cudu natury. W drodze powrotnej ujrzałam zwykłą, wybieloną przez długie pływanie w zimnych wodach gałąź. Umieściłam ją na łódce, postanawiając zabrać do domu. Wieczorem zacumowaliśmy w malutkiej zatoczce z wodospadem, który uśpił nas swoim szumem. Następnego dnia wypłynęliśmy na spotkanie kolejnego lodowca. Znajdował się on na końcu odnogi Seno Pia. Musieliśmy płynąć wolno, gdyż woda była usłana lodowymi bryłami. Po obejrzeniu lodowca wróciliśmy do Ushuaia w nieco minorowych nastrojach: to już koniec pięknej przygody. Nadszedł czas powrotu do domu.

Bydgoszcz… Patrząc na gałąź cudem przywiezioną z Patagonii, tęsknię za Ziemią Ognistą. Chciałabym tam wrócić… Raz jeszcze zobaczyć piękne widoki i wybrać się na wycieczki w miejsca, których nie zdążyłam poznać. I poddać się znowu na krańcu świata tajemniczej magii dzikiej, pięknej natury, którą chociaż raz w życiu warto objąć. Z zachwytem.

Agata Banach l. 15

fot. archiwum autorki

Wyspa Horn.

Zjazd rodzinny rys. Anna Jaracz l. 17 (archiwum)

Tak źle i tak niedobrze

Jest wiele stereotypów o Polakach. Jedne mówią prawdę, drugie niekoniecznie. Spacerując ulicami, oglądając telewizję czy słuchając radia, dostrzegam potwierdzenie jednego z nich – „dogodzić Polakowi, to stracić nerwy".

– Tej zimy nasi sportowcy odnieśli spore sukcesy – mówi prezenter wieczornych wiadomości – Justyna Kowalczyk, nasza biegaczka, ma puchar na wyciągnięcie ręki! Kamil Stoch, nasz młody skoczek, zajął dwa razy miejsce na podium w Pucharze Świata. Niestety, szczypiorniści nie pokazali takiej siły walki. W meczu z Macedonią przegrali 25:27.

Cóż jest dziwnego w tej wypowiedzi? Otóż to, że obok nazwisk i imion sportowców, którzy odnieśli sukces, pojawiają się takie słowa jak „nasz", „nasza", „nasi". Kiedy NASZYM reprezentantom nie powiedzie się, to wyżej wymienione określenia zamieniają się w „on", „ona", „oni". Wychodzi na to, że gdy jest dobrze, polskim zawodnikom wiedzie się, to są „nasi", a my jesteśmy ich częścią. Gdy im się nie uda, nie zdobędą pucharu, medalu czy tytułu mistrza, to zawinili„oni". I nie są już „nasi".

Doskwiera mróz. Szczypie w uszy, nosy, policzki. Z ust bucha para, a dłonie grzeją się w puchatych rękawiczkach.

– Ależ przemroziło! – narzeka pani Kowalska.

– Tak, tak, przemroziło, oj przemroziło. Mówią, że będzie jeszcze gorzej. Istna Syberia nam tu się zrobi! – zamartwia się pani Nowak.

Miesiąc wcześniej rozmowa sąsiadek wyglądała w ten sposób:

– Widzi pani, co to za zima? Ani śniegu, ani mrozu. To już, proszę pani, wczesna wiosna!

– Ma pani rację! Mogłoby chociaż trochę przemrozić, bo dzieciaki żadnej radości nie będą miały z tej zimy!

Siedzę w ciepłym domu, z nogami na kaloryferze. Wpatruję się w delikatnie ośnieżone budynki za oknem i rozmyślam o naszym polskim kapryszeniu. „Tak źle i tak niedobrze" – słychać tu i tam. .No właśnie – a jak nam dogodzić?

Weronika Fatz l. 15

Z Mauritiusa

Perła w koronie

Mauritius – malutka wysepka, niczym główka szpilki, na mapie świata położona na Oceanie Indyjskim, na wschód od Madagaskaru. Zachwyca nie tylko cudownymi widokami, rajskim klimatem i mozaiką etniczną. Kojarzy się również ze skarbami światowej filatelistyki. Przede wszystkim z najdroższym znaczkiem świata uchodzącym wśród koneserów za perłę w filatelistycznej koronie. Obejrzeć go można w słynnym Muzeum Znaczka, znanym pod nazwą „**Blue Penny Museum**", znajdującym się na zachodnim wybrzeżu wyspy, w jej stolicy Port-Louis.

Muzeum zostało otwarte w listopadzie 2001 roku z inicjatywy Mauritius Commercial Bank. Ekspozycje stanowią m.in. mapy i różne przyrządy nawigacyjne z ostatnich stuleci oraz oryginalna rzeźba „Paula i Virginie". Uwagę przyciągają jednak przede wszystkim legendarne znaczki: ***Blue Penny*** i ***Red Penny***.

Rzeźba „Paul i Virginie" została wzniesiona w XIX wieku przez Adrien d' Epinay. Wiąże się ona z zatonięciem w 1744 roku francuskiego statku „St. Geran". Katastrofa stała się inspiracją dla francuskiego autora Bernardina St. Pierre'a do napisania w 1789 roku noweli pod tytułem „Paul et Virginie". Jest to historia tragicznej miłości dwojga młodych ludzi, Paula i Virginie – mieszkańców Mauritiusa, płynących wówczas na pokładzie feralnego statku. Książka weszła na stałe do kanonu literatury klasycznej.

Najważniejszą jednak pozycją w zbiorach muzeum jest znaczek ***Blue Penny***. W muzeum znajduje się jeden z czterech do tej pory istniejących nieostemplowanych niebieskich znaczków i jeden z czterech nieużytych znaczków pomarańczowych. Znaczki te odkupiło 10 listopada 1993 roku na aukcji w Zurichu (Szwajcaria) za ponad dwa miliony dolarów zgromadzenie złożone z szesnastu poważnych firm mauritiuskich, na czele których stał Mauritius Commercial Bank. Obecnie tylko szczęśliwcy mogą obejrzeć oryginały obu znaczków, gdyż z powodu konserwacji są oświetlane zaledwie przez kilka minut w ciągu dnia. Liczni zwiedzający oglądają ich kopie.

Historia sławnego znaczka jest bardzo ciekawa i warta przytoczenia, bowiem wiąże się ze zwykłą pomyłką ówczesnego drukarza. Działo się to w 1847 roku. Mauritius, który w tym czasie był kolonią brytyjską, zdecydował się, jako piąty kraj na świecie, wydrukować pierwsze znaczki: czerwonobrązowy o wartości **„one penny"** i ciemnoniebieski o wartości **„two pence"**. Były to również pierwsze znaczki wydane poza Zjednoczonym Królestwem. 21 września 1847 roku ówczesny gubernator wyspy, chcąc uczcić kolejne urodziny młodziutkiej królowej angielskiej Wiktorii, zarządził wykonanie pierwszych znaczków z wizerunkiem królowej – lewego profilu jej twarzy. Znaczki te miały zostać naklejone na koperty, w których było zaproszenie na bal z okazji urodzin królowej i rozesłane do licznych osobistości za granicą.

Rzeźba Paula i Virginie.

Legendarne Blue Penny i Red Penny.

Zadanie to zostało zlecone lokalnemu drukarzowi Josephowi Osmondowi Barnardowi. Ponieważ gubernatorowi spieszyło się, drukarz szybko zrobił matryce znaczka. W pośpiechu popełnił błąd. Zapomniał treści napisu, który miał zostać umieszczony w rogu znaczka. Pamiętał jedynie, że miało być w nim słowo „post". „Post paid", czyli zapłacone – tak powinien brzmieć napis.

Drukarz nie wiedział, co zrobić. W pewnej chwili spojrzał przez okno na drugą stronę ulicy. Tam akurat znajdowała się poczta, a nad nią widniał napis „Post Office". Szybko go skopiował i wydrukował na znaczkach. Gdy gubernator zorientował się, że drukarz pomylił się – na naprawienie błędu było za późno. Do obiegu weszło 500 sztuk tych znaczków.

Nie wiadomo, ile znaczków z tamtej kolekcji przetrwało do czasów współczesnych. Wiadomo jednak, że znajdują się one głównie w rękach prywatnych kolekcjonerów, strzegących ich jak oka w głowie. Publiczności udostępnione są – poza oczywiście Muzeum Znaczka na Mauritiusie – w Bibliotece Brytyjskiej w Londynie (znajduje się tam oryginalne zaproszenie na bal gubernatorski razem ze znaczkiem). Innym miejscem, gdzie można obejrzeć jeszcze znaczek ***Blue Penny***, jest Muzeum Komunikacji w Berlinie – posiada dwa słynne znaczki, oraz Muzeum Poczty w Sztokholmie (Szwecja).

Blue Penny Museum.

Znaczki te zostały wysoko ocenione przez kolekcjonerów nie tylko z uwagi na ich wyjątkową rzadkość i wczesne daty, ale także ze względu na prymitywny charakter lokalnej produkcji.

Muzeum Znaczka „Blue Penny" można zwiedzać codziennie za niewielką opłatą w walucie lokalnej. W budynku na parterze można kupić rozmaite pamiątki związane tematycznie ze znaczkiem, a także kopie dwóch słynnych znaczków – niebieskiego „blue penny" i pomarańczowego. Dla tych, którzy przychodzą zwiedzać muzeum indywidualnie, jest możliwość skorzystania z tłumacza audio.

„**Blue Penny Museum**" znajduje się na żelaznej pozycji wśród innych ciekawych miejsc na rajskiej wyspie, która stała się naszym domem. My sławne znaczki oglądałyśmy i jesteśmy pod ich nieprzemijającym wrażeniem.

Tekst i zdjęcia:
Gosia Putteeraj i Ewa Mahadea

Widok na Port-Louis – stolicę wyspy.

Witryna Literacka

Wiele razy zapowiadano już, z podaniem dokładnej daty i godziny, koniec świata. Brr! Skoro żyjemy, więc ten jeszcze nie nastąpił. To jak z teatrem, któremu wieszczono śmierć już w momencie narodzin. A przecież ma się nadzwyczaj dobrze, coraz lepiej, na jego deskach święcą triumfy nie tylko dzieła sceniczne, ale i adaptacje powieści, a od wielu lat także uteatralniane teksty publicystyczne i naukowe. Miał bez dwóch zdań umierać po ekspansji kina, radia, potem po narodzinach telewizji, a teraz okazało się, że rośnie, a na jego szlachectwo łakomym okiem zerka sztuka masowa. Z Szekspira, przykładowo, czarodzieja widowni, czerpią coraz bardziej nienasyconymi garściami i kino, i media.

Teatromani cierpią mniej

Atmosfery przyciemnionej sali, sceny, rampy, bliskiego kontaktu z bohaterem przedstawienia, rzęsistych oklasków i czasami wymownego milczenia, słowem – magii teatru nie da się dokładnie wyjaśnić. Ani tego, skąd bierze się artystyczna siła jego twórców. Indagowany o jej źródło Szekspir żartobliwie powiadał, że u niego bierze się ona z przywłaszczenia. Pisarz bowiem nie gromadził biblioteki, po przeczytaniu pozbywał się każdej kupionej książki, przywłaszczywszy sobie uprzednio jej treść.

Nietrudno zauważyć, że młodzi twórcy, przywłaszczywszy sobie fabuły, z całkiem naturalnych powodów w stopniu zdecydowanie większym niż Szekspir, chętnie sięgają po teatralne formy sceniczne. Najpopularniejsze są tu teksty w formie monologu, ale autorzy korzystają na różne sposoby z dorobku środków artystycznej ekspresji wycyzelowanych przez wieki w zdialogizowanych scenariuszach. Zapuszczali się w te atrakcyjne literacko regiony także autorzy POD WIATR, których inspirowane sceną utwory publikowaliśmy wielokrotnie. I będziemy kontynuować publikacje.

Nie wiemy, jak dookreślić magię teatru. I pewnie się już nie dowiemy. Ale na pewno wiemy, dlaczego środki teatralnego wyrazu są tak często przez twórców stosowane, lubiane, dlaczego wkroczyły do noweli, powieści, kina, instalacji plastycznych. Literatura, jak to określił Umberto Eco, cierpi od niebezpieczeństw odautorskiego moralizowania. Znamy to choćby ze szkolnych lektur. Trudno w powieści czy noweli nadawcy się ukryć, wprawdzie próbuje poprzez przeróżne kreacje narratora, ale zupełnie się nie da. Musi nam coś koniecznie powiedzieć, nawet gdy nie chcemy słuchać. W teatrze, w technikach scenicznych nie ma miejsca dla autora, dla jego opowiadania o sobie. Mówią, gestykulują, robią miny tylko bohaterowie. Czy to nie fajne? Teatr cierpi mniej, jego widzowie również. I to zniknięcie autora z pola czytelniczego odbioru jest tak dla obu stron literackiej komunikacji niezmiernie atrakcyjne.

Zygfryd Szukaj

Katarzyna Brzoskowska l. 18

Naiwna tęsknota

Naiwna tęsknota.
Co noc to samo...
Czekam, aż się do mnie odezwiesz, lecz Ty nic nie robisz....
A ja pogrążam się, znikam gdzieś pośrodku kryształowej kuli,
W której podobno jesteśmy zamknięci.
Tak to nasze życie, a wydostaniemy się z niej po śmierci....
Ale zanim ona nastąpi, trzeba tutaj w tym świecie odczuć spełnienie...
Ty mi nim jesteś, ale nie chcesz mi dać go....

Zostanę na wieki zamknięta w krysztale,
Ty odnajdziesz szczęście, ja nie pomieszczę innego.
Wierzę tylko w nasze szczęście,
Nie chcę z osobna....
Wolę zgnić tu, niż zamienić Cię na innego gońca...
Wiesz dobrze, że już nie będzie to samo...
Kocham tylko Ciebie...

Pamiętasz misia, tego zza okna?
Co dnia spogląda i wyczekuje razem ze mną przyjścia Ciebie...
Lecz nie doczekamy się tego nigdy, nie tutaj, nie w tym świecie...
Odnalazłeś inną, inna Ci spełnieniem,
A ja chwilowym tylko Twym natchnieniem...
A wiesz, że to bardziej kłuje niż zdrada zjednania?
Nie poczuję miłości, ni szczęścia, oklasku, blasku, ni nadziei...
Ta ostatnia właśnie we mnie umarła.

Franciszek Świtała l. 16

Brązowe życie

trzy plamy
gazeta kawa stół
w tonacji brązu
kawa z mlekiem
komponują razem się
w codzienności obraz twój
nie zmieniając kolejności
w brązach życie maluje
gazeta kawa stół
z czerni nutą
tytułu w gazecie
niejaskrawą barwą
bo za żywo jest
brąz spokojny neutralny
wręcz zwyczajny
gazeta kawa stół

Opera

W blasku świateł jasnej scenie
czci i hołdu głośny wieniec
wdzięczne składa pokoleniu
pokolenie
za chęć pracy i tworzenia
Takie gromkie dziękczynienia

Chwila ta diamentem trwała
przez doznania szmaragdowe
gdy muzyka malowała
rajskie drzewa owocowe
i gdy brylantowe głosu nuty
koją
codziennością rozum struty

Droższe te momenty stanu
ducha niż kamieni drogich morze
bo nic równać się nie może
do ciasteczka z marcepanu
w przerwie sztuki
zjedzonego jak operę po ostatki
po ostanie nuty arii

Arkadia Ciepłuch l. 15

* * *

Pytałeś, czym jest dla mnie szczęście
tak długo się zastanawiałam
bo odpowiedzieć nie jest łatwo
mimo że chciałam, nie umiałam.

Po jakimś czasie doszłam do wniosku,
że to właśnie Ty jesteś tym szczęściem.
Nie walczyłam już z tym dłużej
chciałam więcej i więcej.

Bo byłeś jak uzależnienie
tak na zawsze
bo miałeś w sobie tą siłę, to coś
co przyciągało mnie jak magnes.

Nie broniłam się, nie chciałam
bo uwielbiałam ten stan.
Bo nic innego nie było ważne
bo ważne, że Cię mam.

Pragnęłam Cię jak narkoman heroiny
jednak tego Ci nie powiem
bo Ty lubisz uzależniać
i zabijać jednym słowem.

A teraz pustka, teraz nicość
i wszystko przeciwko mnie
i mimo, że tego nie chciałam
na odwyk wysłałeś mnie...

* * *

Ujrzałam szczęście, wraz z tobą
nadchodzące
nie trzeba było wiele, by zza chmur
wyjrzało słońce.
Poczułam ciepło okalające me serce
tylko tego chcę jak najwięcej.

Promieniujesz radością,
zarażasz swym bezcennym śmiechem.
Wywołujesz uśmiech na mej twarzy.
Sprawiasz, że znów zaczynam marzyć.

Masz swój sposób, masz to coś,
co sprawia, że zrobię wszystko.
Daj mi poczuć Twą obecność...
Bądź przy mnie. Bądź blisko.

* * *

Sto pytań. Sto powodów.
Zero odpowiedzi.
Myślisz, że dobrze się stało?
Ranisz. To się nie zmieni.
Nadal będzie bolało.
Świat zapomni, co było..
Ludzie zapomną. I Ty zapomnisz.
Ja nie.
Zostanę, zaczekam.
Zatęsknię ostatni raz i wrócę
do wystygłego mleka...

Filip Chrząszczak l. 20

Pokładam w Tobie nadzieję

Krzyczę wśród głuchych,
albo tańczę w autobusach nocnych
i zasypiając, biegnę przez miasto.

Później macham do ślepych,
żegnam się z przyjaciółmi,
i obściskuje obcych.

Uderzam dłonią w szybę,
bo nie chcę, byś był mi obojętny.
Zaciśniętą dłonią w szybę
uderzam, aż do zmęczenia.

Pokładam moją nadzieję,
ciążącą mi od dawna,
na twoich wątłych barkach.

Później zapewne odejdziesz,
trącony wyrzutami sumienia
i moim złamanym ramieniem.

Witam się ze starym przyjacielem,
pociera mi dłońmi ramiona,
unikając bezruchu jak snu
w pijanym locie pszczoła.

Pociąg

Nie wiem, po co stąd wyjeżdżam. Ostatni miesiąc był całkiem przyjemny. Nie czułem tego męczącego smutku, który w innych miejscach rozlewał się bolesną falą po całym moim ciele, odbierał zmysły, uniemożliwiał zapomnienie… Nie lubię wyjeżdżać – to ogólna zasada. Nie mógłbym jednak żyć bez podróży. Urodziłem się za późno, sto trzydzieści lat za późno. Mają rację ci nazywający mnie Cyganem. Nie protestuję także, gdy oskarża się mnie o dekadentyzm i nihilizm. Jestem niedzisiejszy. Żyję snami. I może dlatego muszę prowadzić koczowniczy tryb życia… W półwiecznym autobusie, rozklekotanym samochodzie, w pociągu towarowym… Kilkugodzinne znajomości z przedziałów, przystanków… Nie mam stałej wyspy, nie posiadam domu, nikt i nigdzie na mnie nie czeka. Dla świata nie istnieję. Jestem cieniem, duszą pokutującą za dawne winy, błędnym rycerzem…

***

Słońce, skryte przez cały dzień za szarymi chmurami, zginęło za lasem, ciągnącym się wzdłuż torów od kilkudziesięciu kilometrów. Do wagonu wdarł się cichy i krótki śpiew bezimiennego ptaka. Kończył się właśnie najdłuższy dzień w roku. Przewidywałem, jak powinna wyglądać noc mająca po nim nadejść – bez nieskończonej czerni, bez gwiazd… Jako neoromantyk chciałem przez całą noc wzdychać w ciężkiej melancholii do nieistniejących anielskich mar. Dojeżdżaliśmy akurat do małej stacji w jakiejś nieznanej nikomu mieścinie, co oznajmiła nam niezbyt wyszukaną przyśpiewką grupka nieźle już podpitych studentów.

– Przepraszam – usłyszałem nad sobą niski, tubalny głos. – Czy znajdą się dwa wolne…

– Jasne! – ryknął sąsiad jedzący bułkę z serem, opluwając siedzącą naprzeciw niego kobietę. – Prosimy! Prosimy! Zdzichu! Usuń się trochę!

Mężczyzna nazwany Zdzichem bez słowa, gestu czy spojrzenia przycisnął się do okna, zostawiając obok siebie wolne miejsce. Był on drobnym człowiekiem, posiwiałym, z okularami o grubych szkłach na kartoflowatym nosie. Nie zwracając wcale uwagi na wchodzących do przedziału ludzi, zamknął oczy i kontynuował przerwaną drzemkę.

Nowymi podróżnymi okazali się dwaj młodzi mężczyźni. Nie mieli wielu bagaży. Usiedli naprzeciwko mnie. Jeden z nich spojrzał mi wtedy w oczy i uśmiechnął się… Przeklinam dzisiaj ten uśmiech! Przeklinam to spojrzenie! Od tego bodaj wszystko się zaczęło…

***

Po co o tym piszę? Nie mam pojęcia. Pcha mnie ku temu niekonkretna, a potężna potrzeba. Ta sama, która nie pozwala mi na znalezienie domu. Ta sama, dla której nazywa się mnie Cyganem. Szukam może ukojenia? Ucieczki przed dającą nadzieję beznadziejnością?…

***

Spojrzenie jego rozmarzonych brązowych oczu było przeciągłe. A ten uśmiech zupełnie mnie rozbroił.

– Panowie też do Krakowa? – usłyszałem, jakbym miał watę w uszach.

Serce przyspieszyło, biło tak nieprzytomnie. Chyba się zaczerwieniłem…

– Och – westchnął drugi przybyły. – My jeszcze dalej… Do Zakopanego… W góry…

Nasze spojrzenia rozeszły się…

– Niech pan sobie wyobrazi, że wiemy, gdzie Zakopane leży – burknęła, zmarszczywszy czoło, kobieta.

– Pewnie w ogródku – zaśmiał się jedzący kolejną już bułkę. – Tylko co tam pani mogła zakopać?

Nikt nie zrozumiał dowcipu. Zdzichu głośniej zachrapał. Resztę trasy przedrzemałem, kiwając się nieprzytomnie we wszystkie strony…

Kiedy parę kilometrów przed Krakowem sięgałem po swoją nieciężką wcale torbę, podróżny, którego wzrok i uśmiech tak mnie zachwyciły, zerwał się, by mi pomóc. Praktycznie gest ten był zupełnie nieuzasadniony. Tutaj jednak ważną rolę odegrało tłumione przez całą noc uczucie. Wyczytałem to z dna jego oczu. Nasze dłonie zetknęły się ze sobą. Po moim ciele przeszła ciepła, drgająca fala dyskretnego, tajemniczego, zakazanego podniecenia…

Chwyciłem za pasek torby, zarzuciłem go na ramię i pewnym krokiem wyszedłem z przedziału. Moje pospieszne „do widzenia” zginęło w pełnej znużenia ciszy poranka. Za brudnym oknem wzeszło pomarańczowe słońce.

Przez jakiś czas stałem jeszcze na peronie i patrzyłem na znikający za zakrętem pociąg…

Kamil Miketyński l. 18

Damian Skawiński l. 20

Kiper od zimy

Siedząc w barze, smakując zimę łyk
po łyku wyczuwam aromat
grzanego piwa
Łagodna puchata piana trzyma za usta
i nie pozwala iść do domu

Nie denerwuję się, nie wściekam
zamawiam drugą kolejkę Patrzę
za okno obserwuję pochód kożuchów

Na ścianie bezimienni zesłańcy
z obrazu
Grottgera ze złością marzną
i zazdroszczą
Patrzą błagalnym wzrokiem
Nie podzielę się

Swoje walczyłem swoje przeżyłem
Wygrałem
śnieżną bitwę pod garażem
i potyczkę z lodem
na przystanku Nie było upadku
i powstania

* * *

Usta na szklance zostawiły krew.
Milczysz. Chcę ją spić, skosztować
wina ciała. Nie mogę – patrzysz:
tak piękny jest widok ten.

Małe płatki róż obsypało dno.
Śpieszę zlizać kurz rzęsami.
Myślisz nagą sobą: Tak,
mówisz mi: Dość.

Oczy na stole zostawiły łzy.
Chcę wytrzeć je mankietem, ale
chwytasz zniszczoną dłoń.
Szepczesz: to przecież Ty.

Karol Radziszewski l. 16

Mów do mnie

ja. Kto to? Czy ktoś go zna? Racja. Bo i po co.
Oni.
Cóż to za porównanie. Chcę już się uwolnić od złudnych przekonań, złudnych racji.
By błędów wyzbyć swe sądy i Ich przekonaniami nakierować, aby cofnąć czas.
Miłosierny i Współczujący Boże, ten co mówi, aby chodzić słuszną drogą i nie obawiać się ryzyka, wstaw się za mną.
Oczyść mój umysł, napraw go, aby działał jak za dawnych czasów. Aby mój świat nie był tym, w którym muszę żyć, lecz tym, w którym pragnę istnieć dla kogoś. Pilnuj mnie w każdym kroku i każdym słowie, abym nigdy nie musiał już żałować.
Panie, któremu ufam i powierzam nieustannie swe rozterki, przepraszam. Pamiętam czasy, w których dzieliłem się z Tobą wyłącznie szczęściem, bo Ciebie miłuję, a tym, których miłuję, powierzam swą radość i modlę się o ich uśmiech.
Dziś, kiedy wszystko zaczęło się gwałtownie zmieniać, ale nie zanikać, modlę się o uśmiech dla mnie. Bo w dniach, kiedy się nie uśmiecham, nie jestem nic wart. Takie mam odczucie i chyba taka jest prawda.
Obdarz mnie odwagą, abym stanął do walki z tą jakże smutną jesienią.
Ty, który powtarzasz, że nie należy się poddawać, bądź obok mnie w wyścigu o lepsze jutro.
W wyścigu, w którym przegrywam z moimi pragnieniami, ambicjami, kaprysami, lenistwem.
Nie patrzę w niebo, bo jest mi wstyd.
A niemożność spoglądania w niebo to największa kara.
Nieprzerwanie do mnie mów, abym nie zapomniał, że warto... Bo warto!

■ **Anika P., Bydgoszcz** – Do swego bardzo zwięzłego listu, jednozdaniowego: *Piszę, bo kocham,* dołączyłaś też jeden krótki wiersz. Konsekwentnie. Dobrze kochać, ale jeszcze lepiej jak się już kocha i chce o tym wykrzyczeć światu, napisać też coś więcej o sobie. Napisać akurat tym, którzy tę szczęśliwą informację poniosą do ludzi, upowszechnią. Czekamy więc na list następny tym bardziej, że prezentowany wiersz jest interesujący, dlatego chcielibyśmy przeczytać kolejne i nie zachowywać tej miłej artystycznej satysfakcji jednie dla siebie. Twój utwór czeka na publikację.

■ **Robert J., Toruń** – Eseistyczne rozważania są chętnie przez nas prezentowane na łamach, nie masz więc powodu do obaw, że esej pozostanie w redakcyjnej szufladzie. Rangę Twego tekstu podnosi nie tylko fakt czytelnej argumentacji, ale również sam wybór tematu: zdecydowany głos zainteresowanego licealisty w dyskusji o lekturach szkolnych. I musi być łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Sporo w Twoim tekście mądrych cytatów i czasami przydługich przywołań z prac filozoficznych. Rozumiemy dobrze autorskie intencje. Cytaty mają uwiarygodnić, merytorycznie wzmocnić przedstawiane tak stanowczo opinie. Ale, przywołując przysłowie, co za dużo… Na przyszłość rozważ tę radę. Esej oczekuje publikacji.

■ **Damian S., Bydgoszcz** – W nadesłanych tekstach zwraca uwagę wyjątkowa umiejętność poetyckiego dostrzeżenia rzeczy niezauważalnych, może nieistotnych i drobnych, lecz takich, z których składa się codzienne życie. To istotne, że Twoje teksty odróżniają się od innych, że masz własny *copyright.* Ale jest jeszcze krok następny. Swoje niebanalne obserwacje potrafisz ująć we własnym, zindywidualizowanym i świeżym języku. Do tego mocny plus za poetykę, stroficzny kształt wiersza, jego sylabiczno-toniczną budowę. Dwa teksty: *Kiper od zimy* oraz *(usta na szklance)* publikujemy w tym wydaniu. Prosimy o dalsze utwory, będziemy je prezentować naszym czytelnikom na obu ziemskich półkulach.

Zygfryd Szukaj
lystopad@neostrada.pl

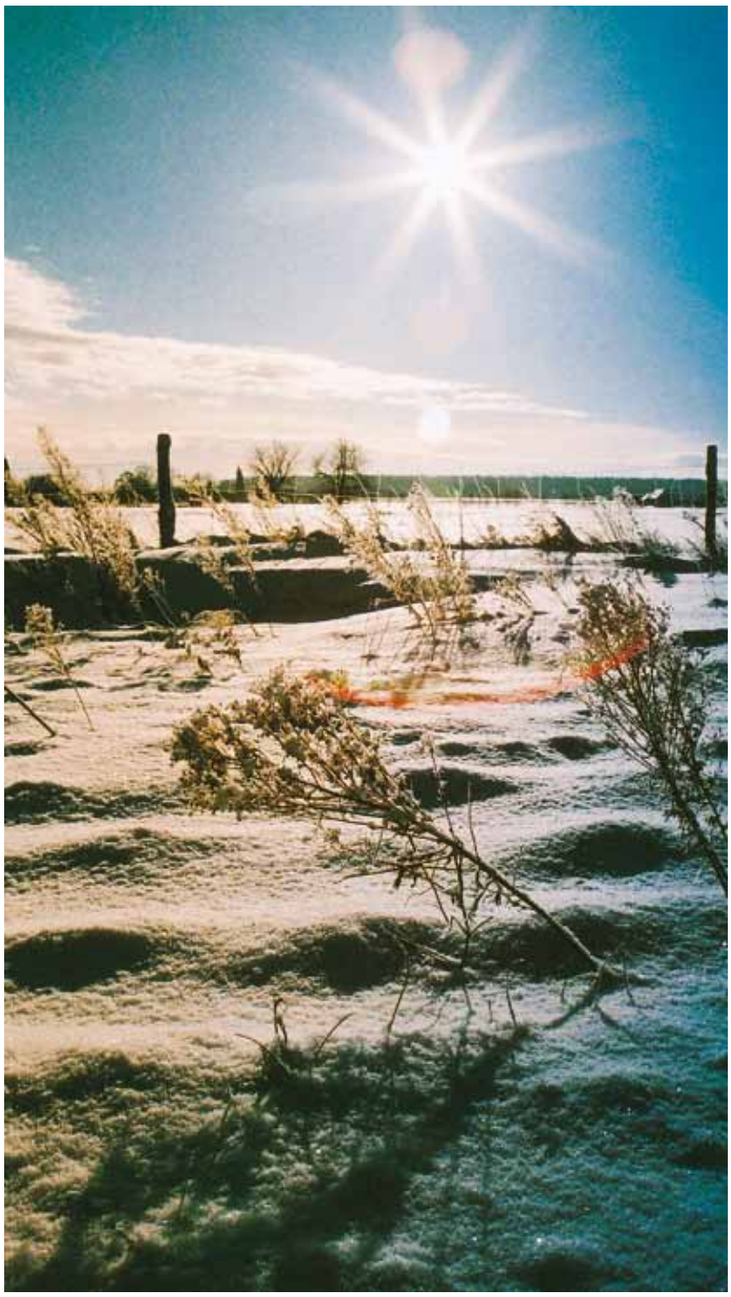

U wrót Hadesu

Miasto tętniło życiem. Ludzie śpieszyli się.

Tabuny sunęły przed siebie bez opamiętania przy fugowym akompaniamencie dzwonków telefonów komórkowych i wyrzucanych do koszy kubków z niedopitą kawą. Jedni w jedną stronę, drudzy naprzeciw. Lecz nie wpadali na siebie. Mijali się tak, jak mija się pokrzywę czy inną księżnę podrażnień. Horyzont chodnika kończył się (dla niektórych zaczynał) wraz z podziemnym przejściem, które każde z nich musiało pokonać, by móc kontynuować drogę.

W podziemiu ginącym w czeluściach tłumu był on. Powoli, zagubiony przedzierał się przez ludzką dżunglę. Ręce schowane głęboko w kieszeniach kurtki, wzrok wbity w ziemię, niczym wojenny topór między nim a resztą otoczenia. Przestraszony wielkim miastem i setkami, tysiącami ludzi pędzących wokół niego – każdy do swej małej Itaki. Chciał czym prędzej dotrzeć na dworzec i uciec stąd. Ale aby to zrobić, musiał tak jak inni przejść podziemnym chodnikiem.

Niesiony pędem pośpiechu tłum błyskawicznie pokonywał najpierw schody w dół, potem kilkanaście metrów posadzki, by ujrzeć światło wyjścia. On był już przy schodach. Wczesne słońce zdążyło opatulić już jego tułów. Nagle zwolnił. Zamarł.

Młoda kobieta trzymająca na ręku niemowlę. Ciemne, długie włosy opadały na jej twarz, dając schronienie oczom, które jednak co i rusz próbowały oswobodzić siebie i śpiące w nich łzy, które zaczynały się budzić. Jej sine oblicze i brudne ubranko dziecka krzyczały bezradnością, której wtórował przezroczysty, plastikowy kubek z kilkoma monetami w środku. Leżał tuż obok, ale jakby w oddali. Mimo wartości, jaką miał, kobieta nie zwracała na niego uwagi, skupiona na dziecku.

On patrzył, nie mogąc się ruszyć. Z letargu nie potrafił go wybić nawet trącający go co chwilę tłum. W końcu oprzytomniał. Postanowił uciec i nie oglądać dłużej tego widoku. Minął kobietę, pokonał resztę schodowych stopni i znalazł się ponownie na chodniku. Poczuł nagle coś dziwnego. Każdy kolejny krok wzbudzał w nim narastającą rozpacz pomieszaną z przeczuciem, że jeśli się nie zatrzyma i nie zawróci, spotka go coś złego. Odwrócił się. Stał tak dłuższą chwilę, wpatrując się w wejście do podziemnego przejścia. Wszyscy ludzie wokół nagle zniknęli, pozostawiając go sam na sam z sumieniem. Nieznany głos kazał mu ruszyć przed siebie i wrócić w miejsce, gdzie koczowała kobieta. Po chwili był już przy schodach. Pokonał kilka pierwszych, zatrzymując się na wysokości pleców kobiety. Włożył monetę do kubka i miał już odejść. Nie wierzył jednak w to, co zobaczył. Jeszcze szerzej otworzył oczy, z których pociekły łzy.

Usta dziecka zaciskające się na piersi łapczywie ssały ją. Krople matczynego mleka spływały kącikami ust. Kobieta spokojnie podniosła głowę, spojrzała spod zakrywających oczy włosów i powiedziała „dziękuję". Wzrok jej zalśnił wdzięcznością i godnością.

Coś wbiło się w jego świadomość. Poczuł się wrogiem tego świata. Zamknął oczy. Sam nie wiedział, jak znalazł się na dworcu, oczekując na peronie na pociąg, który niebawem nadjechał.

A miasto nadal tętniło życiem. Ludzie śpieszyli się.

Damian Skawiński I. 20

Lek

Nie ma niezawodnego leku na cierpienie, zło, nieszczęście, samotność. Mówi się o terapeutach, psychoanalitykach i pedagogach. Jednak czy ktokolwiek go posiada, zna jego recepturę? Wszystko, co potrzebne, kłębi się w naszym wnętrzu. Chowa się za myślami i w najciemniejszych zakamarkach duszy. Wystarczy znaleźć zapałkę, rozpalić ją i oświetlić te miejsca. Siła i nadzieja, niczym ćmy, polecą do światła, którym będziemy je kusić.

– Błagam! Zabierzcie to ode mnie! Już dłużej tego nie zniosę… – tak mówiłam jeszcze kilka miesięcy temu. To był czas spowity mrokiem. Silne emocje, które omal nie zepchnęły mnie na skraj przepaści – Magda dokonując retrospekcji,zagryza wargę. – Chociaż to przeszłość, nie będę ukrywać, że jest bolesna.

Każdy ma w swoim życiu gorsze momenty. Czasami niemiłosiernie ciągną się miesiącami, a nawet latami. Nie zawsze można sobie z nimi od razu poradzić. Podniesienie się po serii upadków to wielki krok.

– Każdy ma problemy na swoją miarę. Moja była nadto wysoka. W krótkim czasie straciłam przyjaciółkę, mój brat próbował popełnić samobójstwo, babcia coraz bardziej podupadała na zdrowiu, a wszyscy zrzucali na moje barki obowiązki i nadzieje, których spełnić nie miałam siły. Sama zmuszona zmagać się z tym wszystkim stałam na krawędzi. Jedno potknięcie, jeden silny podmuch wiatru i dowiedziałabym się, jak to jest tam na dnie.

Jej wewnętrzne światło zaczęło gasnąć. Z radosnego, jaskrawego świata przeszła przez lustro do jego czarno-białej wersji. Przestały cieszyć ją słoneczne dni, bo te nie dawały już nadziei. Kiedy mijała przepełnionych radością ludzi na ulicach miasta, przypominała sobie, że jej życie jest puste, że nie ma już komu zwierzyć się. Szczególnie kłuł ją widok przyjaciół, którzy beztrosko czerpali szczęście ze swojego towarzystwa.

– Nie było tak łatwo znaleźć sobie w tamtym momencie kogoś nowego. Miałam ciężki bagaż i równie ciężko przychodziło mi zaufać drugiej osobie – wspomina Magda. – Oczywiście miałam kogoś bliższego, ale to była bardzo burzliwa relacja, która zaczęła się rozpadać. Nie mogłam tak dalej.

Stan niebytu ciągnął się przez ponad rok. Pod przykrywką radości gryzła zęby, by ukoić swój ból. Wszystko skierowało się na dobrą drogę, gdy opuściła na kilka krótkich dni miejsce, które skupiało wszystkie wspomnienia. Pojechała nad morze. Tam coś w niej pękło. Odcięła się od świata, wyłączyła telefony i chciała cieszyć się chwilą. Zostawiła problemy za sobą. Wydaje się, że jesienne morze zmyło, a nawet zerwało z jej pleców ciężar minionych lat. Dodatkowym bodźcem, kiedy docierało do niej, że czas na nowy początek, były słowa księdza. który w kazaniu traktował o radości. Mówił, że należy ją z siebie wydobyć, bo to ona da nam siłę, by przetrwać wszystkie przeciwności losu.

– Kiedy wróciłam do miasta, byłam jak nowo narodzona. Przyznam się, że chyba znalazłam wtedy zagubiony element. W końcu kiedyś byłam wielką optymistką, cieszyłam się każdą chwilą.

Na drodze do szczęścia pojawiały się przeszkody, ale coś kazało jej brnąć naprzód. Wiedziała, że cel jest coraz bliżej. Przyjście nowego roku przypieczętowało otwarcie nowego rozdziału i rozpoczęcie na czystej stronie w zeszycie, jakim jest życie.

– To przejście, ta jedna noc, która zmienia tak naprawdę tylko jedną cyfrę. Ta noc, która oznacza, że następnego dnia trzeba wyjąć nowy kalendarz, była magiczna. Czułam to w kościach. Tak też się stało. Pożegnałam demony przeszłości. Teraz jestem wolnym człowiekiem, szczęśliwym człowiekiem – z dumą oświadcza moja rozmówczyni.

* * *

Na każdego z nas czeka zapałka i ogień. Jeżeli ją odnajdziemy i podpalimy, świat także się zmieni, odkryjemy na nowo jego kolory i niczym nieskalaną radość z bycia. Ta magia, cud natury kryje się za rogiem. Czasem należy odważyć się tam spojrzeć. Czasem należy wziąć głęboki oddech i pozwolić, by uleciało z nas wszystko, co stanowiło ciężar. Zdrowy wdech i uwalniający wydech. Kilka sekund, które potrafią uratować.

Katarzyna Dutkowska I. 17

Gdy byłam dzieckiem, wierzyłam w bajki. Dzięki temu wszystko wydawało się takie proste. Książę na białym rumaku, piękna suknia i szczęśliwe życie w zamku było na wyciągnięcie ręki. Ufałam Świętemu Mikołajowi i zębowej wróżce. Kochałam swojego misia, lalki Barbie, zabawy w chowanego. Uwielbiałam też zamknąć oczy i udając, że już śpię, marzyć. Dzięki swojej wyobraźni przenosiłam się w najdalsze zakątki świata. Mogłam być tam, gdzie w danym momencie pragnęła moja dusza. Miałam nadzieję, że kiedyś obudzę się i naprawdę znajdę się w tym miejscu. Pewnego razu otworzyłam oczy i byłam tam. Byłam w Ameryce.

Dwie minuty w Nowym Jorku

Ja z ulicznym grajkiem, autorem piosenki dla mnie.

Bezzwłocznie uszczypnęłam się w rękę. Zabolało. A więc naprawdę Tu jestem. Moje nogi naprawdę dotykają Tej ziemi, a moje płuca naprawdę oddychają Tym powietrzem. Wszystko wydaje się być dokładnie takie samo, jak wtedy, gdy leżąc w łóżku i udając, że śpię, odpływałam w najdalsze zakątki marzeń. Czy więc moja wyobraźnia jest już na tyle silna i samowystarczalna, że potrafi wykreować tak rzeczywisty obraz i wrażenie? Szczypię się jeszcze raz. Znowu boli. Jestem w Ameryce.

Razem z grupą turystów z Polski wysiadłam z autobusu. Zapadła cisza. Nikt z nas nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Słychać było tylko przyśpieszone bicie serc i głębokie oddechy ludzi, którym nowe, inne powietrze zapierało dech w piersiach.

Amerykańskie powietrze pachnie zupełnie inaczej. Mimo tego, że składa się z tego samego azotu, tlenu i innych gazów, czuć w nim jeszcze domieszkę siły, wiary i nadziei. To zapach młodych ludzi, których przyciągają tutaj pobudki ambicjonalne i ufność teorii „od pucybuta do milionera". Zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy w miejscu marzeń. W centrum biznesu, kultury, mody, sztuki, badań naukowych, technologii, rozrywki. W centrum świata. W mieście nazywanym 51 stanem Ameryki. W mieście, w którym na co dzień słychać osiemset rozmaitych języków. W mieście, do którego rokrocznie przybywają miliony młodych, ambitnych ludzi. W Nowym Jorku.

Posuwamy się slalomem „z prądem" ulicy, przemykając między tłumami turystów i ludźmi śpieszącymi do swoich spraw. W niemałe zaskoczenie wprawia mnie ich mentalność. Ulegam jej natychmiast. My, Polacy, słyniemy z grymaśnego usposobienia. Przytłoczenie nadmiarem spraw, szara codzienność, skłonność do narzekania sprawiają, że nie potrafimy cieszyć się z życia. Tutejsi mieszkańcy, mijani nawet na przejściu dla pieszych, obdarzają promiennym uśmiechem każdego z przechodniów. Zdarza się, że obcy sobie ludzie witają się sympatycznym pozdrowieniem. Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda życie, gdy codziennie rano mija się tak rozpromienione i rozradowane osoby, a nie przygnębionych i znużonych monotonnością Polaków.

Wolno podążam za gromadką polskich turystów. Nasze spojrzenia, skierowane wysoko ku górze, obserwują kilkusetmetrowe, okazałe wieżowce. Sto pstryknięć i fleszy na minutę. Aparaty mają problem z selekcją architektury i ujęciem tego, co najciekawsze. Bezchmurne niebo i prażące w oczy słońce, a przy tym piekący w policzki mróz dodają unikatowego uroku. Magia tego powietrza, blasku słońca i jednocześnie siarczystego mrozu to uczucie nie do opisania. Jest wczesna godzina poranna. Nowy Jork powoli budzi się do życia. Po pewnym czasie puls miasta przyśpiesza w obłędnym tempie.

Skręcamy.

Przecieram oczy ze zdumienia. Jeszcze raz…

W oddali ukazuje się posąg, który obserwowany w filmach przyprawia każdego o szybsze bicie serca. Statua Wolności – jeden z najbardziej znanych i rozpoznawanych symboli Nowego Jorku i Stanów Zjednoczonych. Tego ranka dało się obserwować jedynie zarys kobiety koloru miętowego bądź błękitnozielonego, dumnie trzymającej w prawej dłoni pochodnię. Mniej cieszącym nasze oczy widokiem był kilkumilowy szereg ludzi czekających na statek transportujący turystów na Wyspę Wolności, aby statuę zobaczyć z bliska. Na szczęście, kolejka posuwała się relatywnie szybko. Można w niej było zaobserwować podróżnych z całego świata. Biali, czarni, żółci. Dzieci, młodzież, dorośli i osoby w podeszłym wieku. Wszyscy przyjechali tutaj żądni przygód, spełnienia marzeń i dotknięcia tego, co dotychczas mogli obserwować jedynie na szklanym ekranie. W gwarze unoszącym się nad tłumem słychać najróżniejsze języki i dialekty.

Nagle, w odległości kilkunastu metrów, dało się zaobserwować poruszenie wśród turystów. Słychać śmiech i klaszczące dłonie. Po chwili z tłumu wyłania się mężczyzna. Niepowszechnym wyglądem zwraca uwagę uczestników polskiej wycieczki. Jest koniec października. Podróżni mają na sobie grube swetry, na nich jesienne kurtki i szale. On – jedynie t-shirt w kolorach tęczy i oryginalnie komponujące się z nim bojówki do kolan koloru khaki, z licznymi kieszeniami i paskami. Na nogach czarne, masywne buty, a na głowie kaszkiet moro z daszkiem, spod którego wychodzi kilka ciemnobrązowych grubych dredów. W rękach trzyma niewielką gitarę z niestarannie ponaciąganymi strunami. Jego twarz rozjaśnia uśmiech.

Czarnoskóry mężczyzna zabawia turystów czekających na statek. W języku angielskim śpiewa piosenki właśnie o nich – o ludziach, którzy przybyli do tego wyjątkowego miejsca, by spełnić swoje marzenia, poznać miasto inspiracji i snów, zażyć innego świata. Przemykając się między stojącymi w kolejce, dociera do naszej grupy. Pyta jednego z chłopców, skąd jesteśmy, po czym wychodzi przed tłum i na poczekaniu wymyśla utwór.

Śpiewa o pięknej dziewczynie, która przybyła do Ameryki z odległej Polski i już zdążyła pokochać to miejsce. Po pierwszej zwrotce, improwizując na gitarze, zaczyna, co prawda z trudem, wymawiać dwa, znane tylko naszej grupie

ciąg dalszy na str. 12.

rys. Marta Jagiełło l. 20 (archiwum)

Miłość z banałem w tle

Całe szczęście, że to już za nami: ten wielki, wyjątkowy dzień, kiedy dwa najważniejsze słowa, stanowiące swoistą podstawę kontaktów interpersonalnych od zarania dziejów, nabierają znaczenia komercyjnego.

Jak co roku sklepy tonęły w czerwieni, kwiaciarze zacierali ręce, ciesząc się z większego obrotu. Kina proponowały repertuar wzbogacony o najnowsze komedie romantyczne, a restauracje przygotowały okazjonalne menu. W oknach wystawowych pojawiło się mnóstwo misiów mówiących „kocham cię", kioski oferowały karty pocztowe z ostentacyjnie zaznaczonym wyznaniem „I love", a czekoladki, lizaki, cukierki, bomboniery i inne słodkości kusiły kształtem serca. Walentynki!

Zaczęło się w starożytnym Rzymie. Obchodzono tam święto ku czci Junony, zwane Luperkaliami, podczas którego składano ofiary, a kapłani uderzali kobiety rzemieniami – februami, co miało zagwarantować płodność i opiekę bogini nad małżeństwami. W południowej i zachodniej Europie zwyczaj ten kultywowano już w średniowieczu, a do Polski przywędrował dopiero w latach 90. XX w. Istnieje kilka teorii dotyczących pojawienia się go w naszym kraju. Jedna z nich głosi, że jest on wynikiem amerykanizacji, inna, że zainspirowali nas Francuzi, a kolejna – że napłynął wraz z kultem patrona z Bawarii i Tyrolu.

Współcześnie ludzkość przechodzi swoistą rewolucję. Ufamy wzorcom, stereotypom narzuconym przez mass media i popkulturę. Natłok obowiązków sprawia, że zatracamy się w szarej rzeczywistości. Kalendarz, który wertujemy każdego dnia, wypełniony po brzegi spotkaniami, zajęciami dodatkowymi i pracą, raz na jakiś czas przypomina nam o ważniejszych świętach. Spora część społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy z tego, że groby bliskich można odwiedzić nie tylko we Wszystkich Świętych i Zaduszki, postanowienia wdrażające w nasze życie drobne poprawki można ustanowić nie tylko od 1 stycznia, a kochać można nie tylko w walentynki.

Jedynym pozytywnym aspektem czternastego lutego jest fakt, że w tym dniu cały wszechświat przypomina sobie, że istnieje miłość. Walor ten jednakże tonie w natłoku komercji i konsumpcjonizmu, które mu towarzyszą. Popadamy w swoisty paradoks. Z jednej strony – kieruje nami potrzeba miłości, zajmująca czołowe miejsce w hierarchii potrzeb zdefiniowanej przez amerykańskiego psychologa Abrahama Maslowa. Z drugiej – potrzeba wyznaczenia szczególnego dnia w roku, by udowodnić drugiemu człowiekowi, że darzymy go wyjątkowym uczuciem. To wielki banał współczesnego świata.

Kochać to nie znaczy obchodzić walentynki. Czy naprawdę potrzebne jest święto, by pokazać, że obdarzamy drugą osobę ważnym i pięknym uczuciem? Jeżeli zależy nam na niej, to możemy robić to codziennie. Miłość jest w nas. Dlaczego więc czcimy ją raz w roku z banałem w tle?

Olivia Drost l. 18

Dwie minuty w Nowym Jorku

ciąg dalszy ze str. 11.

słowa – „kocham cię". Znajomość polskich wyrazów przez ulicznego grajka wywołuje niemałe zaskoczenie.

Nagle, kontynuując wykonywanie utworu, zwraca się w moją stronę. Jego oczy patrzą na mnie. Śpiewa do mnie, dla mnie. To mnie wybrał spośród całego tłumu i to o mnie ułożył piosenkę. Czułam, jak radość unosi mnie do góry, jak gdybym znajdowała się kilka centymetrów nad ziemią. Świat się na chwilę zatrzymał. Ludzie stali w bezruchu. Samoloty zawisły w powietrzu. Turyści zastygli z aparatami w dłoniach. Nie było tłumów, gwaru, tysiąca żółtych taksówek. Byłam tylko ja i Nowy Jork.

Przenosząc się w marzeniach do Nowego Jorku, nie czułam jego zapachu, nie słyszałam jego gwaru, pulsu ulic, nie mogłam dotknąć jego budynków. Same obrazy, nieumiejętnie poskładane w nieokiełznaną całość stanowiły niespójne wrażenie. Teraz, gdy zdałam sobie sprawę, że podeszwy moich butów właśnie dotykają bruku Times Square, kieszenie spodni ławki w Central Parku, a na Manhattanie moja ręka chwyta koszulkę z napisem „I LOVE NY", poczułam się inaczej. Serce zaczęło walić jak młotem. Oniemiałam z zachwytu, a radość przepełniała serce. Są bowiem miejsca na Ziemi, które zna tylko nasza wyobraźnia.

Nasze życie składa się z puzzli, które ktoś rozsypał po całym świecie chwilę przed naszym urodzeniem. By poznać siebie samego, by doznać tego, co jest nam pisane i co składa się na całość, „naszą" całość, trzeba je wszystkie pozbierać. Fragment siebie samej znalazłam właśnie tam. Czekał na mnie, leżał, pośród tłumów mijających go każdego dnia. Podał mi go ten oto czarnoskóry grajek. Słowa były zbędne. Łzy mimowolnie cieknące mi po policzkach i nieśmiały uśmiech na twarzy przekazywały wszystko, co w danym momencie czułam. To były moje dwie minuty. Moje minuty w Nowym Jorku.

Tekst i zdjęcia: Olivia Drost l. 17

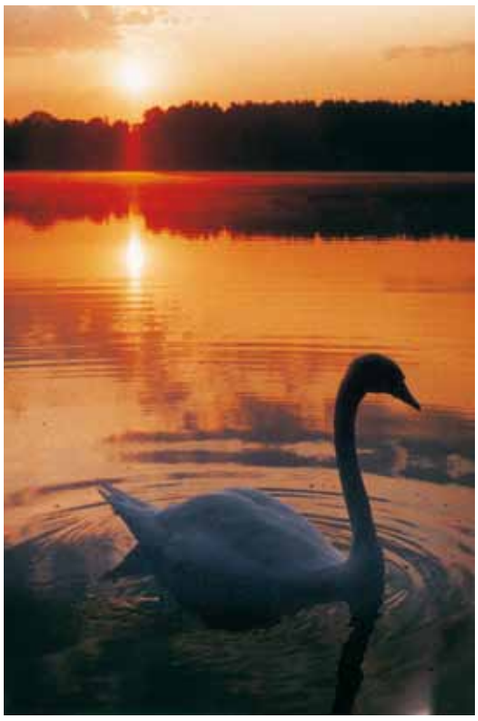

Zatopieni w świecie baletu

Lubię im się przyglądać. Poruszają się delikatnie, jakby nic nie ważyły. Zatracają się w tym, co robią. Zsynchronizowane, płynne ruchy oczarowują nie tylko mnie – publiczność trwa w ciszy, czekając na rozwój wydarzeń. Choć widzę balet po raz pierwszy, moje serce chwyta zachwyt.

Zapalają się jaśniejsze światła. Kobieta w białym kostiumie wpływa na scenę, kręcąc piruety. Jej twarz jest skupiona, całą sobą wczuwa się w swoją bohaterkę. Stara się nie myśleć o tysiącu oczu zwróconych ku jej postaci. Teraz jest jej moment i musi go całkowicie wykorzystać. Pokaże tym, którzy w nią nie wierzyli, na co ją stać.

Pojawia się mężczyzna – zwiewnymi podskokami przemierza wypolerowane deski teatru. Widzi ją – nieudanie skrywa swe wątłe ciało, udając obojętność. Ćwiczyli to wiele razy, a ten musi być perfekcyjny. Jest coraz bliżej – cekiny na jej sukni odbijają światło, rażąc go w oczy. Nic nie może mu przeszkodzić. Liczą się sekundy... Ich dłonie wreszcie się stykają. Teraz tańczą razem zatopieni w świecie baletu. Dotykają się opuszkami palców, jakby nie byli zdecydowani na nic więcej. Są ostrożni – muskają swoje ubrania, jakby były z najdelikatniejszej tkaniny, a oni sami z porcelany.

Stworzone przez nich niebo kończy się gwałtownie – na scenę wkracza nowy tancerz z ukrytą twarzą. Straszna maska wyrywa publiczność z czarującej krainy miłości. Hebanowe skrzydła okrywają postać drobnej baleriny, by przemienić jej nieskazitelne odzienie w ponurą szatę. Wszystko dzieje się szybko – publiczność jednak pragnie dostrzec osobliwą przemianę... Napięcie rośnie, wbijając widzów w fotele.

Świat wokół tancerzy ciemnieje, jak gdyby zapadając się w mrok. Zmienia się atmosfera i rośnie napięcie. W powietrzu zawisa pytanie: „Czy balerina przejdzie na złą stronę?”.

Nie wiemy jednak, że za kurtyną rozgrywa się większy dramat. Walcząc o życie, zmuszają się do bycia kimś, kim nie są. To nie jest zwykły pojedynek... Rzeczywistość miesza się z wyobraźnią i marzeniami. Niechciana zaciętość bierze górę...

Koniec jest (dla niektórych) do przewidzenia. Sztuka kończy się, nie rozstrzygając sporu między dobrem a złem. Śmierć wydaje się rozwiązaniem wszystkich tajemnic. Jednak tutaj tylko pogarsza sprawę. Spadając w otchłań, zabiera (ona) ważne odpowiedzi.

Nie określiłam ludzi po imieniu – tu nie ma takiej potrzeby. Każdy spada, podnosi się, tracąc jedno, zyskuje drugie. Zagłębiając się we własne umysły, odkrywają, jak niewiele brakuje im do postradania zmysłów. Myśląc o tym, odsłaniają drugie ja...

Czemu tak pokrętnie? Bo to naprawdę zmusza do myślenia.

Dlaczego takie zakończenie? Bo to kawałek dalszej historii istnień – ludzi stworzonych w umyśle scenarzysty. Wystarczy obejrzeć film „Czarny łabędź” w reżyserii Darrena Aronofsky’ego, by zrozumieć, że balet to tylko jedna z wielu dziedzin, gdzie mieszają się światy.

Joanna Tarasińska I. 14
fot. Robert Sawicki

Z Rosji

Dzień dobry z Jakucji

Nazywam się **Qaarcaana** Kowalska. Mam 18 lat, mieszkam w Jakucku (wschodnia Syberia). Jestem studentką drugiego roku, studiuję język francuski. POD WIATR otrzymujemy z Polski kilka razy w roku. Nie jest jedynym czasopismem, które tu z Polski dociera, jednak wiekowo najbardziej do mnie pasuje. Z tego, co mi wiadomo, ani w Jakucku, ani w całej 10-krotnie większej niż Polska Jakucji nikt poza naszą rodziną nie używa na co dzień języka polskiego.

Jakucja – *Saqa Sire* (czyta się *saha sire* z akcentem na ostatniej sylabie) liczy około 950 tys. mieszkańców, zamieszkuje ją ponad 100 narodowości.

Jakuck liczy ponad 200 tys. mieszkańców. Leży na lewym brzegu Leny, w przybrzeżnej dolinie. Dolina nazywa się po jakucku Tujmaada, ma około 70 km długości i 10–15 km szerokości. Z północno-zachodniej strony otoczona jest wzgórzami.

Tegoroczna zima po raz kolejny okazała się względnie ciepła. Zaledwie kilka dni (w styczniu) było około -50˚C. Wczoraj wieczorem -39˚C, a dzisiaj po południu jest -25˚C, czyli… ciepło.

Załączam wiersze, które przetłumaczyłam dla czytelników POD WIATR z języka rosyjskiego. Pierwszy wiersz (bez tytułu) był napisany przez dołgańską poetkę Ogdo Aksionową, drugi – przez eweńskiego poetę Wasilija Liebiediewa. Dołganie i Eweni to rdzenne narody Jakucji. Pierwsi liczą około 7 tys. osób, drudzy – około 20 tys. Miłej lektury, pozdrawiam.

Qaarcaana Kowalska
e-mail: qaarcaana@mail.ru
Jakuck, 13 lutego 2012 r.

* * *

Jest u Dołganów taki zwyczaj –
Dzielić się pierwszą zdobyczą.
Zapamiętaj, chłopcze.

Daj gościowi najlepszy kawałek,
Drugi kawałek – dla staruszków.
Zapamiętaj, chłopcze.

Stare podanie głosi –
Temu się wiedzie,
Kto przed ludźmi nie ukrywa swego sukcesu.
Uwierz mi, chłopcze.

Jest u Dołganów taki zwyczaj –
Dziel się – i sam odniesiesz sukces
(i nie zostaniesz z niczym
i sukces cię nie opuści).

Ogdo Aksionowa – dołgańska poetka (1936–1995)

Uniwersytet, w którym studiuję.

ORÁN

Nie, ja nie ostatni
kocham swojego renifera.
Renifer [pozostawał i pozostaje] ze mną stulecia
i tysiąclecia.

Renifery pędzą w zaprzęgu,
renifery pasą się w śniegu –
szukają
pokarmu.

Oran, mój oran!
W znoju i burzy śnieżnej
tyś moim domem,
tyś moim pokarmem,
tyś moim przyjacielem, odzieniem i nadzieją.
Twe rogi jak we mgle ognisko!
Nie, ja nie ostatni
kocham swojego renifera.
Nie, ty nie jesteś ostatnim,
mój reniferze!

Chociaż pośmiejemy się i popłaczemy,
jednak jeszcze z tobą pogalopujemy
poprzez stulecia
i tysiąclecia.

Wasilij Dmitrijewicz Liebiediew – eweński poeta (1934–1982)

ORÁN – renifer (po eweńsku). Wg prastarej eweńskiej legendy, biały renifer był świętym zwierzęciem przynoszącym szczęście.

Żywe pomniki czasu

Skute mrozem, przykryte śniegiem, w ciszy swojej dostojności czekają na wiosenne porywy słońca. A kiedy już dotrze do nich światło i ciepło, ich potężne, zielone czupryny w mgnieniu oka ożywią betonowy krajobraz. Drzewa naszego miasta. Mają swój styl i osobowość. Są bliskie człowiekowi. Delikatnie oplatają jego duszę i śpiewają ciszę, której on pragnie. Mocno otaczają ramionami i pozwalają krzyczeć, gdy potrzebuje krzyku, by poczuć ulgę.

Yaolan tian. Występuje w północno-wschodnich Chinach. Nazwa gatunku wywodzi się prawdopodobnie z języka chińskiego, co oznacza „kołyska niebios". Po polsku – bożodrzew. Przechodzień czy turysta przechodzący ulicą Jagiellońską obok historycznego budynku Kujawsko-Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego zaduma się nad wyniosłością bożodrzewów. Pod warunkiem, że śpiesząc się – zwolni na chwilę. Spojrzy ku szczytowi „zielonej góry". Zatrzyma się. I wspomni świadectwo czasu, które nosi w sobie ten cud natury… A ten czas uwidoczniony na mapach miasta sięga roku 1900. Wówczas bożodrzewy tutaj posadzono.

Przed kilku laty, chcąc je chronić, odkopano ręcznie system korzeniowy. Po zbadaniu przebiegu korzeni zdecydowano, że chodnik wybudowany zostanie na murku z barierką, a jego część zostanie umieszczona 30 cm wyżej, aby nie niszczyć systemu korzeniowego drzew. Cały układ drogowy w skądinąd newralgicznym miejscu miasta został przeprojektowany, aby chronić bożodrzewy. Tuż obok, na ul. 19 marca 1981 r. – zmieniono przebieg krawężników wyznaczających jezdnię, zastosowano specjalne oznakowanie drogowe, by ocalić pomnikowy wiąz. Na koniec Rada Miasta Bydgoszczy specjalną uchwałą uznała kilkanaście drzew za pomniki przyrody, po czym wydała takie dyspozycje ochronne, że drzewa mogą stać spokojnie. A niedawno, we wrześniu ubiegłego roku, uchwałą włodarzy miasta ustanowiono kolejne drzewa pomnikami przyrody ze względu na ich wyjątkowe cechy osobnicze, rozmiary i wiek. I tak oto w mieście nad Brdą ochrona 74 drzew (nie licząc m.in. pomnikowych krzewów i głazów) stała się prestiżowym znakiem człowieczeństwa.

Ten znak to nie tylko forma szacunku i pamięci, ale także – czemu POD WIATR przyklaskuje, forma edukacji. Otóż na kanwie troski o przyrodę w środku miasta powstała ścieżka dydaktyczna Pomniki Przyrody Centrum Bydgoszczy. Pomysłodawcą była Justyna Olszewska – pracownik Wydziału Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska UM. Ścieżkę zaprojektował Ryszard Seidel, a władze miasta inicjatywę wsparły.

Długość ścieżki wynosi 2,77 kilometra. Jej trasę można pokonać łatwo i przyjemnie podczas indywidualnych i rodzinnych spacerów. I chociaż tło stanowią decybele miasta, majestatyczne drzewa i parki, przez które przebiega, jakby je przytłumiają.

Ścieżka obejmuje osiemnaście „przystanków". Każdy przystanek to jedno drzewo, niekiedy egzotyczne, bo naturalnie występujące tylko na odległych kontynentach. Ścieżka dydaktyczna w samym sercu kilkusettysięcznego miasta to ewenement.

Pomniki Przyrody Centrum Bydgoszczy to przede wszystkim pożyteczna innowacja dydaktyczna dla uczniów, nauczycieli przyrody i biologii, a także historii. Oryginalna – dla turystów, sentymentalna – dla mieszkańców miasta, atrakcyjna – dla ich gości, cenna – dla przyrody, bo pozwala jej odgrywać rolę, na jaką zasługuje.

Przewodnikiem po ścieżce jest folder z mapą trasy, wizerunkami pomnikowych drzew i wzmianką historyczną o czasach, kiedy zapuściły korzenie. Być może w przyszłości dociekliwy badacz ich losów znajdzie w miejskich archiwach, czytelniach starej prasy, na przechowywanych w muzeach obrazach fotograficznych, dawnych zdjęciach, widokówkach itd. inne jeszcze ślady obecności tych drzew w pejzażu grodu nad Brdą. Ścieżka zachęca, kusi do takich poszukiwań…

Jej początek stanowi surmia bignioniowa rosnąca przy Pałacu Młodzieży. Aby to drzewo zachować, zmieniono niegdyś projekt architektoniczny Pałacu, tworząc dla surmii specjalną wnękę. Naturalnym środowiskiem drzewa jest Ameryka Północna, a jego liście są największe spośród liści drzew występujących w Polsce.

Dalej ścieżka wiedzie przez park Ludowy im. W Witosa, gdzie czekają na miłośników przyrody pomnikowe dęby szypułkowe „Ryszard" i „Jakub" oraz leciwy kasztanowiec biały o obwodzie 520 centymetrów. Potem szlak dydaktyczny prowadzi m.in. w sąsiedztwo największej świątyni bydgoskiej – Bazyliki pw. św. Wincentego à Paulo do alei jarzębów szwedzkich. Stamtąd udajemy się na aleję Ossolińskich, by czerpać przyjemność z towarzystwa najstarszych i najokazalszych w Bydgoszczy magnolii. Po drodze mijamy kolejne pomnikowe atrakcje: m.in. topolę czarną (obwód 548 cm) w parku im. Jana Kochanowskiego, klony srebrzyste przy ul Kopernika, miłorzęby przy ul. Gimnazjalnej, cyprysiki błotne, platan klonolistny, wiąz szypułkowy i kasztanowiec czerwony – w parku im. Kazimierza Wielkiego. Ścieżkę kończą wspo-

EKOLOGIA BEZ GRANIC EKOLOGIA BEZ GRANIC EKOLOGIA BEZ GRANIC EKOLOGIA BEZ GRANIC

Żarty „mniejszych braci”

Interesuje mnie świat zwierząt. Bardzo cierpię, kiedy dowiaduję się z prasy lub z telewizji, że kolejny gatunek – używając słów św. Franciszka: naszych „mniejszych braci” – wymiera. W wielu z nas nie ma miłości do zwierząt. Zadajemy im rany, śmierć, ból, skazujemy na poniewierkę, wygnanie. A one przecież to wszystko przeżywają.

Zwierzęta mają w sobie wiele ludzkich odruchów, zachowań, potrafią myśleć, są dowcipne (tak, tak), a niekiedy o wiele sprytniejsze od człowieka. Gdybyśmy więcej o nich wiedzieli, zapewne nasz stosunek do nich też by się zmienił. Ja staram się o nich wiedzieć jak najwięcej. Przez to są mi bliskie, bardzo je kocham i śmieję się razem z nimi. Od pewnego czasu mam pasję: zbieram historie wskazujące na to, że zwierzęta swój rozum mają i potrafią wyprowadzić w pole najbardziej przebiegłych osobników rodzaju ludzkiego. Oto opowieści, które sobie wynotowałam.

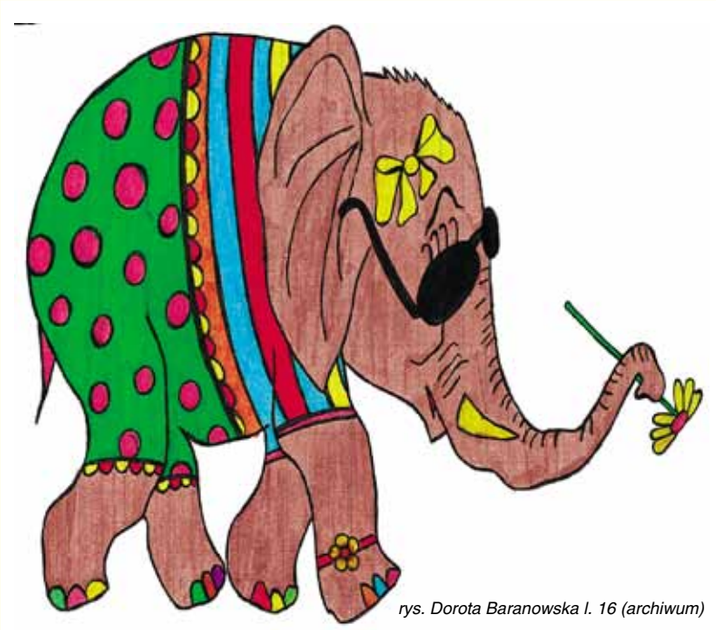

rys. Dorota Baranowska l. 16 (archiwum)

Lis uchodzi za uosobienie chytrości nie tylko w bajkach. Oto fakt. Pewnego razu rudzielec zakradł się do kurnika, gdzie tak napełnił sobie żołądek, iż w żaden sposób nie mógł przecisnąć się przez otwór w murze. Rankiem gospodarz znalazł w kurniku wraz ze śladami nocnego buszowania także jego sprawcę. Nie mógł go jednak ukarać, bo lis leżał... martwy. „Obżarł się i zdechł” – pomyślał gospodarz i chwyciwszy łobuza za ogon, wyrzucił na śmietnik. Wówczas lis skoczył na równe nogi i tyle go widziano.

Pewien angielski lekarz, który przez długie lata przebywał w Indiach, opowiedział znajomym o podstępach „świętego” byka, którego ogromnie nęciła soczysta trawka przy willi doktora. Gdy go od niej odpędzano – padał na ziemię i udawał nieżywego. Gdy tylko ludzie odeszli – natychmiast wstawał i dalej szczypał sobie trawkę.

Opowieść o sprytnym słoniu również pochodzi z Indii. Otóż dawniej złapanego dzikiego kolosa prowadzono do niewoli pomiędzy dwoma obłaskawionymi już słoniami; oczywiście odpowiednio skrępowanego, aby nie mógł się wyrwać. Zdarzyło się kiedyś, że prowadzony w ten sposób słoń najpierw zaczął utykać, potem zawisł na powrozach i łańcuchach, wreszcie runął na ziemię.

Myśliwi zdjęli z niego łańcuchy, poluzowali liny. Na próżno, słoń wyzionął „ducha”. Łowcy zmartwili się, ponarzekali i ruszyli w stronę obozu, zostawiając martwego kolosa. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, słoń ostrożnie uniósł łeb, po czym podniósł się na równe nogi i popędził w gąszcz dżungli.

Po co szukać przykładów w Indiach? Przypatrzcie się chociażby sprytowi naszych piesków. Wezmą kość, zaniosą do swojej „spiżarni” i przychodzą po… następną. Ileż w tym ludzkiej przezorności...

Może i Wy znacie podobne opowieści lub przeżyliście zdarzenia, podczas których nasi „mniejsi bracia” wykazali się sprytem, ofiarnością lub przyjaźnią w stosunku do człowieka? Opowiedzcie o tym. Kto wie – może te historie skruszą jakieś okrutne serce i w następną noc wigilijną, kiedy zwierzęta mówić będą ludzkim głosem, usłyszymy więcej komplementów niż skarg.

Marzena Kowalska l. 19

---

mniane na wstępie bożodrzewy rosnące przed Urzędem Wojewódzkim.

Drzewa naszego miasta. Dostojne dęby, cisy, lipy, topole, klony, kasztanowce… Niektóre żyją 100, 200 i więcej lat. Pamiętają dobre i trudne lata miasta. Dramaty historii i historię nadziei. A obok pną się ku niebu drzewa nasadzone niedawno, przed kilku laty – świadkowie współczesności miasta. Jest coś fascynującego, wręcz magicznego w symbiozie przeszłości z teraźniejszością określonej rolą przyrody i człowieka.

Nie zawsze tej symbiozie sprzyjają okoliczności.

Drzewa umierają: sterane wiekiem, najczęściej cywilizacją wypełniającą nasz glob wszystkim, co im szkodzi, bywa – pokonane przez huragan. Kilka lat temu na bydgoskiej Wyspie Młyńskiej jednego dnia podczas wichury uległy, jak to mówi się fachowo, wywrotowi dwa przepiękne kasztanowce, pomniki przyrody. Pokonał je żywioł. Siła wyższa. Nie bezmyślność, wandalizm, łapczywość na kawałek gruntu.

Ale pomnikowe drzewa, „nauczyciele” historii, tak do końca nie umierają. W bydgoskiej koncepcji pamiętania o ich roli świadków minionych czasów, tam, gdzie jest to możliwe, daje im się drugie życie. Powalone przez wichurę wciąż z dumą obnoszą krzepę swoich zdrowych korzeni i gałęzi. Zostają na miejscu, w którym padły lub w innym, specjalnie wybranym, aby każdy mógł zobaczyć, kim – czym były. A kiedy w proch się obrócą i trzeba będzie je usunąć, pozostaną jako tło przyrodniczego krajobrazu miasta na pamiątkowych fotografiach turystów, przechodniów i zakochanych.

Drzewa, zwierciadła czasu… Pomniki Przyrody Centrum Bydgoszczy. Kiedy idziesz przez hałaśliwe ulice, wypełnione śpieszącym się tłumem przechodniów i szukasz miejsca na refleksję, znajdź stare dęby, topole albo kasztanowce, siądź w ich cieniu i pomyśl: oto stoją niewzruszone, jakby chciały powiedzieć każdemu, kto dotyka ich kory: „Pamiętamy czas, o którym ty uczysz się z podręcznika historii”. Być może wtedy poczujesz w sobie większy zapał do poznawania tamtego czasu i szacunek dla jego świadków.

Hubert Januszewski l. 24

fot. z folderu „Pomniki przyrody centrum Bydgoszczy” wydanego przez Urząd Miasta Bydgoszczy

na zdjęciach:

1. *„Świadek” kasztanowca białego przy Białym Spichrzu*
2. *Buk zwyczajny w parku im. Kazimierza Wielkiego.*
3. *Bożodrzew gruczołkowy ul. Jagiellońska (przy Urzędzie Wojewódzkim).*
4. *Magnolia – al. Ossolińskich.*

4

18 lat POD WIATR – wspomnienie sentymentalne

Tęsknota bez imienia

rys. Marta Jagieło l. 20 (archiwum)

Każdego dnia toczy się we mnie tęsknota, ciężko jak metalowa kula pchnięta bez skrupułów na kręgle wspomnień – odległe, prawie nieuchwytne. Przywołuje pamięć o bliskich, którzy już odchodzili z nieznanych przyczyn, a które i tak nie mają znaczenia bez ich obecności. I tęsknię, choć często jest to tęsknota bez imienia, bez nazwy, bez głębszego sensu. Tęsknię, nie mogąc zrozumieć owej tęsknoty, ogarnąć lub stłamsić jej w sobie. Z każdym dniem czuję, jak niewygodnie z nią się żyje; i mnie, i wszystkim, w których tak ciężko się toczy.

Tęsknimy ciągle, wypierając się tego życiu prosto w oczy. Jesteśmy jak czarodziejskie dzbany, w których zawsze tkwią chociażby najdrobniejsze krople słonej wody. Tęsknią ludzie nawet najbardziej prości i mają swą prostą tęsknotę; nieproszącą o wiele.

Tęsknimy niekiedy za tym, czego nigdy nie mieliśmy i nigdy nie zostało powiedziane, że możemy to mieć. Ta tęsknota sięga nam do kolan, ciągniemy ją po ziemi lub jest – jak żywot motyla – całkiem krótka.

Nie myślałam, że będąc młodym człowiekiem, można tak ogromnie tęsknić za dzieciństwem, co pomknęło swoją drogą do miejsc, których nie ma. Nie wytłumaczy mi tego matka, której twarz każdego dnia dzieli wiatr czasu i zarzuca biel gołębich skrzydeł na schyloną głowę. Nie wytłumaczy mi tego ojciec, niewierzący w śmierć, choć boi się jej tak bardzo. A ja? Ja nadal tęsknię. Gdybym była małym dzieckiem, zapewne oboje pochyliliby się nad łóżeczkiem i strojnym głosikiem rzekli, że wszystko będzie dobrze. Milczą. Dobrze wiedzą, że tak nie jest.

Zaczęło się od dzieciństwa kruchego i dalekiego jak sama starość. Zgubiłam gdzieś po drodze dwa warkoczyki – rozrzucone na ramiona straciły kokardki w drobne groszki. Małe wiaderko leży zasypane w rogu piaskownicy. Chłodny kąt za drzwiami wypełnia rozczochrana lalka z luźną głową. Doroślejąca wiem już, że róże to nie stokrotki i trzeba uważać, gdy wyciąga się po nie rękę. Dorastające dłonie pamiętają, jak gięły w sobie pokrzywy, którymi w przedszkolu odganiało się chłopców ciągnących za warkoczyki. Szczególnie tego Tomka, co chciał za jednego buziaka bujać się na drewnianych konikach.

Gdy tornister zaczął ciążyć na plecach, nie wypadało już biegać między bujawkami za krzakiem pokrzywy. Tomcio wyjechał na kilka lat. Buziaki wystygły, pokrzywy zwiędły.

Czas nie pyta, czy może tak bezlitośnie ciągnąć nas w swoją stronę i wyrywać z nas rączki marzeń i wspomnień. Biegł przed siebie i obijał nami bruk zdarzeń i nieprzewidzianych wypadków.

Podobno było wielu dobrych i szczerych przyjaciół. Ale znam ich tylko z gestów i słów, których czułością zatkano dziurkę od klucza i obłożono zimną klamką. Teraz stoją w dali, za drzwiami.

Wszystkie miłości niespełnione i całe to ogromne kochanie stoi teraz cicho za oknem i nie śmie wracać. Cicho za oknem stoi ktoś, kogo (chyba) bardzo kochałam. Myślałam, że można to przeżyć i żyć lekko, swobodnie bez tej miłości. Nie na długo starczyło mi tego myślenia. W środku nocy zbudzone serce znalazło samotność, a świadomość – obcy, dotąd, lęk. I tylko dusza skromnie tęskniła, wierząc w powrót. Ona jedna nie unosiła się w histerii, nie trwała w krzyku i obłędzie, lecz –pozornie – znosiła łzy czekania. Była naiwna, lecz dzięki temu mogła trwać.

Skradzione uczucie zamknięte w mysiej dziurce rośnie w milczeniu.

Naszą tęsknotę podzielono między odejścia i powroty. Ktoś odszedł na zawsze, ktoś wyjechał na kilka dni. Ktoś wyszedł wczoraj i nie wrócił.

Tyle razy ściskałam dłoń w przedziałach pociągu, na dworcach, na drogach, w drzwiach obcych domów. Zawsze było to „do widzenia" nigdy – „żegnaj". Zawsze kazano czekać za dwoje, gdy ta druga osoba nie chciała wracać. I tylko nocna poduszka i cichy kąt za białymi drzwiami znały cichy ból. Obiecywałam sobie wtedy, że już nigdy nie tknę w pożegnaniu żadnej dłoni; po co łamać palce wspomnień ostatnim dotykiem? Szukać w tłumie, stawać w progach obcych domów, wychodzić na drogi z tą durną łzą w oku? Po co?

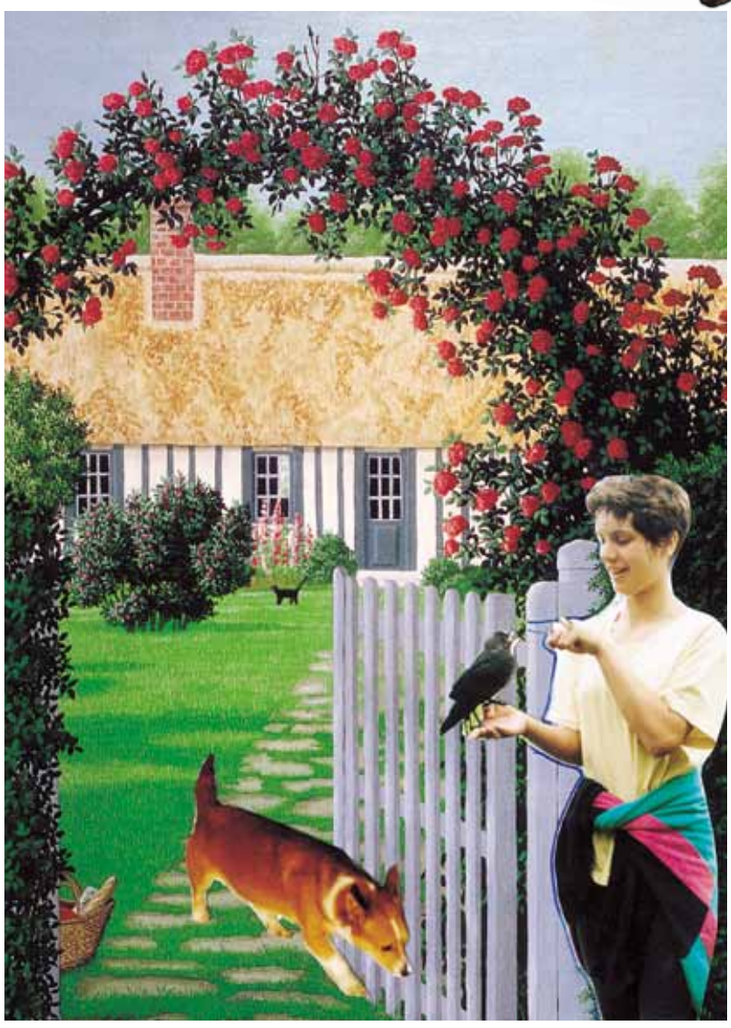

collage Anna Jaracz l. 18 (archiwum)

Ludzie, których mijam na ulicy, tak często wydają się brzydcy i pomarszczeni. Wyrwani z wrzaskliwego tłumu milczeniem, prośbą o upragniony spokój. Zmęczeni ludzie… Ciągle tęsknią za spokojem zamkniętym w białych ścianach lub w zgrabnej trumnie z zapachem czerwonych goździków. Nikt nie wie, dlaczego nie znają dwóch świeczek zapalonych przy kolacji i leżą odwróceni do siebie plecami. Proszą o spokój i modlą się, by któreś nie wyrzekło słowa.

Chcemy być dziećmi. Odganiać się pokrzywami od ludzkiej natrętności. Wierzyć, że nigdy nie dorośniemy i że czas jest łaską Boga. Chcemy wciąż kołysać się na drewnianych konikach i odpychać nogami od ziemi. Wzbraniać się od bolesnego kochania, o którym już tyle wiemy.

Życie to nie dworzec kolejowy, by dzielić na nim powroty i odejścia. A jednak wciąż otwieramy czarne zakurzone albumy z żółtymi i kruchymi fotografiami. Albumy leżące na dnie starych szuflad lub te, co głęboko spoczywają w naszej świadomości. I tylko w nich życie pozwala nagle się zatrzymać. Pod osłoną łez nie wierzymy, że jesteśmy tak daleko i zarazem blisko. Przeszłość została wbita w stary album otwierany tylko raz do roku – w tajemnicy przed tymi, co ciężko już śpią i nie widzą ogromnych łez goryczy.

Jak poradzić sobie z tą tęsknotą? Jak z nią żyć?

Agnieszka Kniwel l. 17

POD WIATR nr 8–9/1996